

ŚWIĄTU

ICEK PODWÓJNY.

SZKIC Z ŻYCIA WIEJSKIEGO.



Suchy Marzec mokry Maj,
Będzie żyto, jako gaj.



Ile mgły w Marcu, tyle w Czerwcu
wody.



Suchy Marzec, mokry Kwiecień
a Maj chłodny,
z pewnością rok niegłodny.



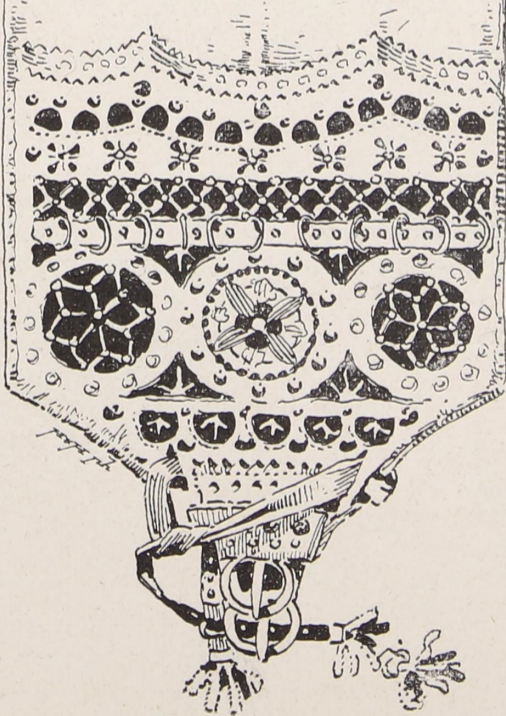
Gust kobiet, łaska pańska, marcowa
pogoda — zawsze niestałe.



Na św. Kazimierza,
wyjdzie skowronek z pod pierza.



Na św. Grzegorza,
idzie zima do morza.



I.

Dziwna rzecz stała się we wsi Trzęsidłach i osobliwa niesłychanie. Icek skwaśniał.

Obywatel bardzo przyjemny, dla wszystkich zawsze uprzejmy, uśmiechnięty, gotów do wszelkich drobnych usług i do małych transakcyj, przygodnych handelków, jedyny człowiek do załatwiania sprawunków, wyszukiwania kapitalistów, chodzący informator, kolporter najświeższych wiadomości, wcielona idea pośrednictwa, chodząca uczciwość, odpowiednia zawodowi, a przytem pachciarz — skwaśniał.

Ni ztąd ni z owąd, niewiadomo z jakiego powodu.

Taka osoba! taki człowiek!

Dziwili się ludzie, boć kwaśniej niekiedy piwo, mleko, wino rodzynkowe, miody, ale Icek — i jeszcze taki nadzwyczajny Icek!

Rano był najweselszy, rozmawiał z ludźmi, śmiał się, koło dziesiątej rano pojechał na jarmark i wieczorem wrócił jakby nie ten sam.

Wyprzągnął kobyłę z biedki i puścił ją na trawę, a sam usiadł na kamieniu przy płocie, oparł łokcie na kolanach, głowę ujął w dłonie i myślał... Tak myślał, tak twardo i ciężko myślał, że nie słyszał nawet jak go Ruchla na kolację wołała, nie odpowiedział ani słowa Wojtkowi, który mu nowy kozuch przyniósł na zastaw.

Widać coś mu weszło w głowę pod samą jarmułkę i utkwilo tam jak gwóźdź w desce.

Jakiś bardzo ciężki interes!

Nazajutrz rano wcale nie był w oborze, nie obchodził chałup, nie wstąpił do dworu, nie odzywał się do ludzi, tylke poszedł za wieś, między olszynę nad rzeczkę i tam chodził, deptał od drzewa do drzewa, od krzaka do krzaka, potykając się co parę kroków. Mówił sam do siebie, pluł, gładził się po brodzie, uderzał rękami po bokach, stukał palcami w czoło, podskakiwał, siadał, znów wstawał; dziwne rzeczy wyrabiał.

Trwało to może godzinę, może dwie — a potem wrócił do swojej stancyi, usiadł przy stole i wypisywał kredą rachunki.

Na żonę, na dzieci, które odzywały się do niego, krzyczał przeraźliwym głosem: *gaj weg!* — i znowu dalej rachował. Potem wziął maźnicę pełną smoły i poszedł smarować biedkę. Właśnie przy tej czynności zastała go Magda.

— Icku! Icku! — zawołała.

Ani się obejrzał.

— Ogłuchliśta, czy co? Icku! dziedzie was woła.

— Dziedzic?

— A no dyc, idźta duchem, bo pilno.

Icek ramionami wzruszył.

— Aj waj... pilno; niech panu będzie pilno, mnie się nie śpieszy. Co mi dziedzic, wielka fanaberya dziedzic, nie widział kto dziedzica?!

— Idźta-że!

— Idźta? co to jest idźta? Co ty głupia dziewczka, głupia Magda, mnie rozkazujesz?... Mnie?! Ty idź na konfidencye do krowy lub do chlewa, tam twoja kompania jest.

Magda była to dziewczka szanująca swoją godność. Powiedziała mu więc na poczekaniu kilkaset słów, w których nie było ani jednego pocziwego i wytrzymała ze swego bogatego repertuaru wszystkie psie nogi, psie kości i psie dusze, psie portrety i wszystko co tylko miała psiego w pamięci.

Icek, co mu się nigdy w życiu nie zdarzyło, wpadł w taką wściekłość, że rzucił na Magdę kwaczem umoczoną w smole, ona natychmiast odpowiedziała kamieniem i całe szczęście, że oboje chybili, bo mogłaby się stać całkiem nieprzyjemna awantura.

Dziewka pobiegła na folwark, miotając wciąż przekleństwa. Icek uspokoił się jakoś, kwacz podniósł z ziemi i dalej biedkę smarował.

Dziwna rzecz, co się z tym człowiekiem zrobiło. On, taki uprzejmy, taki zawsze grzeczny, zrobił awanturę i z kim? z dziewczką folwarczną, z istotą, która niegodna jest z nim rozmawiać, z prostą, zwyczajną dziewczką.

To jest pfe!

Icek sam sobie to w myśli powiedział i było mu bardzo przykro, że musiał sobie to powiedzieć — ale cóż? bywają takie stany i usposobienia, że najrozumniejszy człowiek traci panowanie nad sobą i staje się zapalczywym, jak, za pozwoleniem, indyk albo kogut. Robi się niekiedy z człowiekiem coś dziwnego, wszystkie bóle, jakie kiedykolwiek go trapiły, zlewają się w jeden wielki ból, wszystkie złości, jakie nagromadziły się w sercu, stają się jedną wielką złością, wszystkie żale jednym wielkim żalem i wówczas człowiek robi się taki, jak, uchwaj Boże, nabita dubeltówka. Małe dziecko poruszy go palcem — i jest taki strzał, taki łomot, taki gwałt, że może przestraszyć wszystkie zające w okolicy, wszystką dziką zwierzynę i nie przymierzając ludzi.

Właśnie Icek był tak nabity, z powodu różnych okoliczności i interesów, gromadził się w nim ciągle proch i śrót, kule, bomby, cała artyleria. Przyszła Magda, dotknęła nieostrożnie i już jest wybuch, jest pfe, wstyd dla człowieka poważnego, rozumnego, dla obywatela handlującego, pachciarza... Jest zupełnie pfe! Ale co Icek temu winien, że go nabito, że musiał wybuchnąć, a gdy się awantura stała, gdy już wybuchnął, to jeszcze został w nim dym od strzału, czarne sadze od prochu, cała gorycz. Wszystko to weszło, wpakowało mu się w delikatne serce, w wątrobę, w krew, w głowę. Rozpłynęło się po wszystkich żyłach, po nerwach, po kościach. Co dziwnego? w prochu jest podobno saletra i siarka; w zmartwieniu zaś żółć szkaradna jak zły rak, żółtawo-zielona jak samo nieszczęście. Ona się wyrabiała w nim potrochu, a wybuchnęła na jeden raz, jak suma co jest cała wymagalna w razie uchybienia jednej raty.

Icek musiał wybuchnąć, a potem musiał się napełnić goryczą. On był nabijany, on był nabity.

Maciek, stary pijak, umarł; długu Ickowi nie oddawszy — poszukiwać nie było na czym — czy to nie jest odrobina prochu? szlachcic podwyższył opłatę na pacht po całe trzy ruble od krowy, czy to nie jest garść prochu? żyto, które Icek kupił z wiosną na zielono po cztery ruble, na jesieni stało po trzy i kopiejek ośmdziesiąt pięć, loco stacya — czy to nie jest garniec prochu? akcyzniki złapali Icka jak sprzedawał wódkę chłopom; była sprawa, był wyrok, była koza — czy to nie jest beczka prochu? czy nie jest cała artyleria?

Ktoby nie wybuchnął? Icek wybuchnął, on musiał wybuchnąć — a potem zgorzknieć.

On zgorzkniał, a ludzie powiedzieli, że skwaśniał.

Sąd ludzki zawsze jest omylny i niedokładny.

Ciężko zadumany poszedł Icek do dworu do dziedzica.

Czego on od niego chce?

Dziedzic? czego chce dziedzic, co mu potrzeba, czy ma to być nowe nabijanie? Nie, już tego dość.

Icek pójdzie, ale będzie twardy, będzie jak mur. Icek ma swoje kombinacje, obmyślił je we własnej głowie tak dokładnie, tak akuratnie, tak jedna do drugiej pasuje, jak klucz do zamka, okna do futryny, drzwiczki do pieca.

Trzeba raz zrobić skutek — i na prawo albo na lewo, naprzód albo w tył, bo tak jak jest, źle jest, a co źle jest, to dobrze nie jest.

Niech mózg idzie w ruch i niech pokaże ręką, co mają brać; nogom, gdzie mają iść; gębom, co ma mówić.

Wszedł Icek na ganek; psy nie czekały na niego wcale, bo znany był im, jeden tylko Bryś warknął i to nie ze złości, ale z przyzwyczajenia. Od tego jest pies, ale i to głuche warknięcie przykro dotknęło Icka. Kiedyindziej byłby nie uważał wcale, dziś mu przykro. Człowiek, nabity prochem zmartwienia, mając pełne serce żółci, o byle głupstwo się obraża, wszystko go boli.

I to go bolało, że dziedzic fajkę palił, że nie płakał nad swoją hipoteką, że nawet uśmiechnięty był.

Czego on uśmiechnięty?

— Jak się masz Icku?

Icek zwyczajem swoim chciał powiedzieć: »dziękuję wielmożnemu panu«; już miał nawet te słowa na języku, ale cofnął je i pewnym, nawet cokolwiek podniesionym głosem, rzekł:

— Ja, proszę pana, ja się wcale nie mam.

— To źle...

— Może być źle, może być dobrze.

— Lewą nogą musiałeś dziś z łóżka wstać.

— Ja ich obydwóch nie czuję.

— Więc choryś?

- Nie gadałem jeszcze z doktorem.
Dziedzic popatrzył na Icka uważnie i po chwili rzekł:
- Ja cię nie poznaję dziś.
— To lepiej, ja już nie jestem ten sam Icek, co był wczora.
— Odmienili cię?
— Nie jestem ten sam.
— A jakież u licha jesteś?
— Inakszy: ja panu co powiem, na co ma być długie klektanie. Szkoda czasu. Ten kontrakt na krowy, co ja miałem podpisać, to ja nie podpiszę.
— To bardzo dobrze. Berek weźmie.
— On też nie weźmie.
— No to Mosiek.
— Ani un nie weźmie, ani żaden; dość już tego pachciarstwa.
— Piękna myśl, będziemy tedy trzymali sami.
— Właśnie, właśnie, w inszym kraju to każda krowa ma rogi i ogon, u państwa każda prócz ogona i rogów potrzebuje mieć jeszcze kawałek żyda.
— Jakto, u państwa? co to znaczy?
— Znaczy tutaj, na tym paskudnym piasku i tych bagnach i tych wyskubanych lasach. To jest bardzo felerowaty i paskudny ten kawałek ziemi. Na folwarki to nie wiele warto, a w kupie tyle co nic.
— A gdzieżeś ty się Icku rodził?
— Gdzie się miałem rodzić? to jest ładne pytanie. Ja się rodziłem w porządnym mieście, w Kocku.
— Niedaleko.
— Aj, proszę pana, można sobie urodzić niedaleko, a żyć daleko. Czy to człowiek jest, za pozwoleniem, wrona, żeby lubił zawsze na jednym drzewie nocować. Jak komu dobrze, to siedzi, jak komu źle, to idzie dalej.
— Więc idziesz?
— Ja jeszcze nie powiedziałem, że już idę, tylko mówiłem, że mi tu źle.
— Cóż ci złego, w czym? czy krowy mleka nie dają? czy koszerne masło staniało? czy straciłeś na gęsiach?
— Jest pfe!
— Tłómacz się jaśniej.
— Co się mam tłómaczyć? Jak człowiek dostanie, niech Bóg broni, słabość, to krzyczy, że go boli. Jak boli, jakim sposobem, to wszystko jedno, dość, że boli, Ja nie potrzebuję dużo powiadać, ani mało nie potrzebuję powiadać, dość, że mam cierpienie, a przez to, że mam cierpienie, chcę otrząsnąć błoto z moich butów i iść tam gdzie dobrze.
— Aha, emigrować chcesz?
— Dlaczego zaraz emigrować? ja chcę tylko jechać, chcę jechać do takiego kraju, gdzie mi będzie dobrze, gdzie nie jest żadna Magda, co może człowiekowi paskudne słowo powiedzieć, gdzie nie są takie ordynaryjne chamy, takie chłopcy, takie niedźwiedzie, co wypiją wódki za dziesiątkę, a zrobią przekleństwa za rubla; gdzie nie są takie panowie, co »jak bieda, to do żyda, a po biedzie, idź do dyabła żydzie«, ja chcę iść do takiego kraju, do takiego miasta, co jest w nim ruch, handel, dobrych interesów, zarobków, gdzie jest tyle banków, co tutaj szynków, a tyle szynków ile tutaj tych much co około obory latają. Ja chcę iść sobie do takiego kraju, co w nim same murowane chałupy, same bogate chłopcy i taka porządna szlachta, jak tu najpierwsze hrabiowie.
— Gdzież masz taki kraj?
— Już ja wiem; ja słyszałem od ludzi. Tam jest wcale inny porządek, inna procedura. Tam są ludzie kolorowe, wszystkie jak malowane. Szlachcic jest na gębie ani czarny ani biały, tylko taki sobie jak tutejszy cygan, a jak un trzyma bydło, albo konie, to ma więcej w swoim stadzie, niż tu wszyscy panowie w całej gubernii. Chłopcy są całkiem czarne i dzikie. Wódkę uni bardzo lubią, a na pieniądzach wcale się nie znają. Bywały zdarzenia... pisał do mnie o tem jeden żydek... że taki dziki chłop, ten czarny, potrafi dać dwa brylanty za kieliszek araku i jeszcze się cieszy, że zrobił bardzo dobry interes. Z takim narodem można handlować. Zboża jest bardzo dużo. Handel! aj, jaki tam handel, jakie życie! Ja biorę sobie w jedną kieszeń flaszkę araku, w drugą całe sto papierków i idę na miasto między robotników, między dzikich chłopów, handluje, zarabiam. Niech jabym tu spróbował taki trudny proceder...
— Przecież próbowałeś.
— Pfe! niech moje wrogi mają taką próbę. Mnie złapali, mnie oddali do sądu, ja siedziałem w kozie, zapłaciłem karę, więcej niż moja żona przez ten czas utargowała. Czy tu można żyć, czy to podobne do czego? Co to jest? to jest całkiem pfe.
— Zapewne.
— Niech pan sam powie, czy ja nie mam racyi? Co tu jest? Tu jest pieprz i ocet, tam miód i cukier.
— Ale widzisz, Icku, tam jeszcze nie byłeś.
— Byli tacy co byli, uni widzieli, uni to opisali. Tam jest smak i honor. Co do smaku, to pierwszy smak w tem, że nikt nie pyta, czem kto handluje. To jest, panie, duży smak. Jeden lubi sprzedawać mąkę, inny wódkę, jest taki, co handluje zapalkami i taki, co ma na zbycie koronki. Owszem, niech sobie handluje podług swego upodobania. Od tego jest kupiec. Tam nikt nie słyszał o żadnych kontrabandach, o żadne przykrości. Nikt nie pyta, co człowiek ma i zkad ma... Niech sobie ma, bo skoro ma, to widać jego. Tymczasem tu... Czy pan pamięta tego nałogowego konia, co ja z nim miałem tyle kramu?
— Pamiętam.

— No, niechże pan sam przyzna, czy mnie był potrzebny cały ten ambaras, to chodzenie po sądach, koszta, przykrości.

— Któż ci kazał kupować od złodzieja?

— Pfe, od jakiego złodzieja, to był porządny obywatel, mój dobry znajomy, nawet krewny.

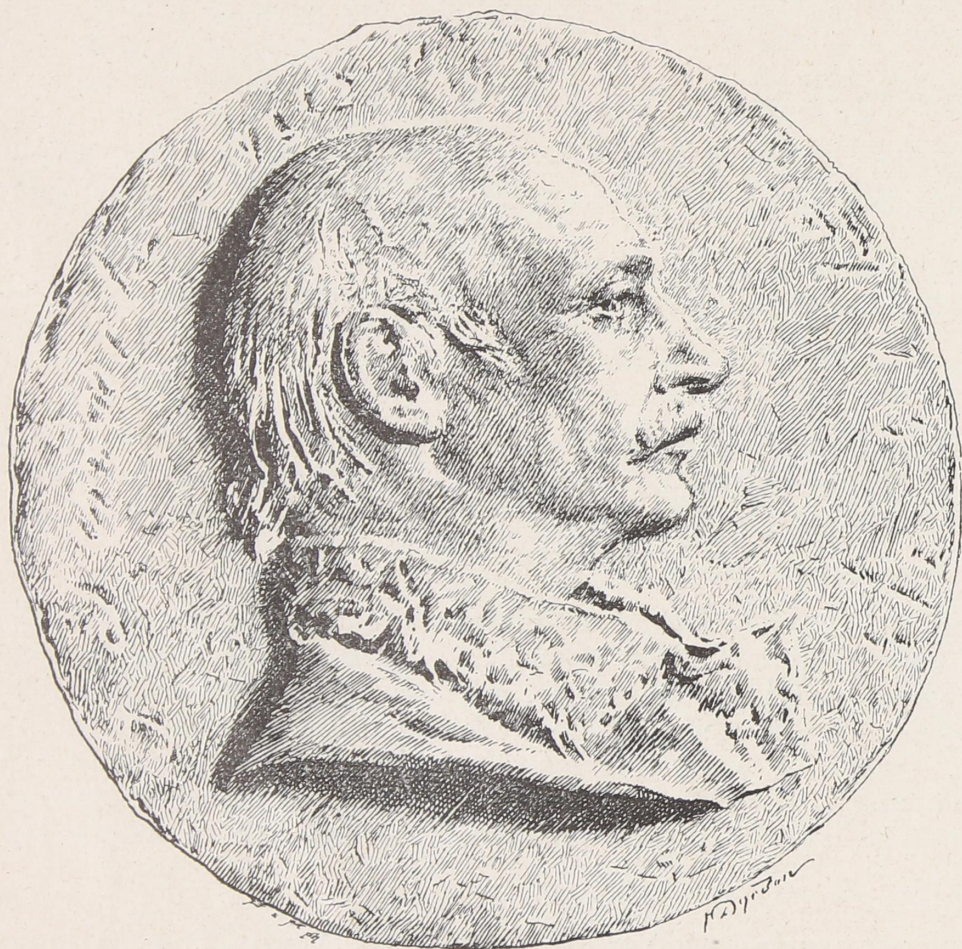
— To swoją drogą... ale złodziej. Niech cię to nie obraża, Icku, lecz w najporządniejszej rodzinie trafia się czasem wyrodek.

— Trafia się, wszystko się trafia; ale w tym wypadku było nieszczęście, tylko nieszczęście, dla tego, że wójt ma złość do żydów, a sołtys jest ptaszek, co tak samo śpiewa jak wójt. Ja kupiłem konia od Moška, chłop się przyczepił, że to jego koń. Jak może być jego, kiedym ja zapłacił. Chłopu ukradli konia gniadego i zdrowego na oczy, ja kupiłem konia czarnego i ślepego na jedno oko? No? jak się to panu podoba?

— Ale nie gadaj, Icusiu, przecież się w sądzie wszystko wykryło.

— Wykrył się fałsz... Złe ludzie powiedzieli, że koń jest pomalowany farbą i że mu oko przypadkiem, a może naumyślnie złodziej wybił. Proszę pana, czy Mosiek jest farbiarz, żeby konie malował. Pfe! Ja straciłem, Mosiek stracił.

PORTRET WŁASNY, modelował TEOFIL LENARTOWICZ.



Rysował HENRYK DYRDOŃ.

— Tyle co nic.

— Zawsze przecież coś.

— Nie wielki interes, inisi więcej zarobili i też nie mają się z czem chwalić. Kto co zarobi teraz, na ten czas? Po co mnie pan kazał wołać?

— Chciałem, żebyś pojechał do miasta i załatwił mi tam pewien sprawunek, ale ponieważ masz co innego na głowie, nie mogę cię już tem obarczać.

Icek chciał koniecznie wiedzieć, co to za sprawunek i co mógłby przy tem zarobić, ale dziedzic powie- dzieć nie chciał.

— Nic, już nic — rzekł — nie chcę ci, Icku, w ostatnich chwilach twego pobytu w Trzęsidłach, komi- sów żadnych dawać, masz i bez tego dość zatrudnienia; musisz przecież graty wyprzedać, interesa pozalać, pieniądze wycofać z obrotu.

Icek jeszcze bardziej skwaśniał, bo gdzie to stoi napisane, że przed wyjazdem zarobek nie jest potrzebny?

II.

Siedzieliśmy w Trzęsidłach na ganku podczas pięknego letniego wieczora. Wiatr przynosił zapach sko- szonego siana i miłem orzeźwiającym tchnieniem chłodził skronie. Ludzie powrócili od roboty; we wsi, w cha- tach, co się ciągnęły szeregiem, światła błyszcząły. Walenty, karbowy, chłop przysadzisty i krępy, z twarzą prawie kwadratową, wąsami przystrzyżonymi nad wargą i włosami długimi, co mu na ramiona, na koszulę

— No, stało się i już nie wróci.

— Prawda i niech Bóg broni, żeby się taka sprawa miała kiedy wrócić; niech moje wrogi to mają! tylko widzi pan, ja do tego prowadzę, że tu nie można żyć. Na moje sumienie, nie można żyć. Ja cierpiałem, za co? za głupie pół kwarty wódki, Mosiek cierpiał za konia, Boruch jeszcze cierpi za stary, połamany srebrny lichtarz, co mu się trafił tanio do kupienia, a teraz, sły- szał pan co się w miasteczku stało?

— Cóż?

— Taki kupiec, taka osoba, taki bogacz, jak Mendel, dostał wyrok do kryminału... Już sie- dzi. No?

— Ależ człowieku, przecież on sfałszował do- kument, podpis obywatela.

— Wiem, ale to nie jest prawda.

— Przecież mu dowiedli...

— Wszystko można dowodzić. Mówią, że un sfałszował, a un się tylko pomylił, zamiast co miał podpisać swoje nazwisko, podpisał cudze. Każdy człowiek może zrobić omyłkę.

— Taka omyłka zawsze kryminałem pachnie.

— Ładny zapach, śliczne perfumerye! ja już mam tego pełen nos! Niech pan na to nie ra- chuje, że będziemy odnawiali kontrakt. Ja nie mam ani trochę chęci.

— To bardzo dobrze, jak ci się podoba.

— Wcale mi się nie podoba.

— Cóż będziesz robił? wyjedziesz?

— Zobaczę... może wyjadę.

— Do tego kraju, co w nim sam smak, pra- wda? No, dlaczegóż sekret przedemną? Krzy- wdy nie miałeś, zarobiłeś tu w Trzęsidłach trochę grosza.



Rysował HENRYK DYRDOŃ.

TEOFIL LENARTOWICZ.

zgrzebną spadały, wyliczał ile kopic siana zgrabiono i piękną pogodę chwalił, a gdy już raport swój ukończył, uśmiechnął się i rzekł:

— Nowina we wsi wielka.

— Cóż?

— Nasz Icek pono aż za trzecie morze wędruje. Dziś taki gwałt był jak na jarmarku, żydziska pozłatywały się jak wrony i okrutnie radziły, już tak radziły i radziły...

— Ale nad czym?

— A kto ich tam rozumie, dość, że rajcowanie było między nimi ogromne, jeden drugiemu do oczu skakał, a wszystko według Icka. On sam zhardział teraz, że ani przystąpić, a jak go zapytałem, czy będzie dalej krowy trzymał, to przeklął: żeby mnie licho wzięło i z krowami i ze wszystkim, co tylko jeszcze jest. Splunąłem i poszedłem swoją drogą...

— Nie wiadomo kiedy wyjeżdża?

— Ponoć niedługo, po świętym Janie. Het wszystko sprzedaje, statki graty, a konia i krowę onegdaj sprzedał. Wynosi się od nas aż za morza.

— Widać mu tu źle, więc szuka lepszego losu gdzieindziej.

Walenty głową pokręcił i uśmiechnął się pod wąsem.

— Nie zdaje się wam to? — zapytałem.

— Ha, podług mego chłopskiego rozumienia, Ickowi tu źle nie było, tak jak i wszystkim źle nie jest. Po lekkości sobie taki chodzi, roboty ciężkiej nie zna, a pieniądze ma. Ze wszystkiego profit ciągnie. Kłaniają mu się nawet, nie przymawiając, inni panowie... i każdy jemu dziesięcinę daje. Możeć mu tam będzie cieplej, bo gadali żydzi, że za onemi morzami zimy nie ma, ale lepiej mu nie będzie, według tego, że u nas naród dobroduszny i że taki czy z pana, czy z chłopa co chce wyciągnie. At, wielmożny panie, co tu dużo gadać... chce jechać, niech sobie jedzie, toć się nie będziemy rozpadali z żalości; baba z wozu, koniom lżej.

— A gdyby tak wszyscy oni nas opuścili, coby było?

— Albo ja wiem?

— No, przecież podług waszego pomiarkowania?

— Proszę pana, cebulaby dużo staniała i czosnek — odrzekł chłop, śmiejąc się.

— Cebula cebula, ale handel?

— Jużci prawda; czy dziś człowiekowi śledzia, na to mówiąc, przy świętym poście, albo soli, albo choć kawałka żelaza potrzeba, to się do żyda idzie, ale gdyby żydów nie było, to możeby się inni ludzie handlujący znaleźli, albo możeby nowe, inakże żydy nastały... Ja tam zmiarkować tego sobie nie potrafię... tylko widzi mi się...

— Cóż się wam widzi?

— Ano, że zawdy u nas we wsi, choćby i w Trzęsidłach, byłaby odmiana. Wojtek by się nie upijał, boby gorzałki bez pieniędzy nie dostał. Marcin by się nie obdłużył bez potrzeby; baby nie wynosiłyby z chałup przedziwa; a młodziaki nie lataliby po jarmarkach i po weselach, jak, nie przymierzając, psi, i takieby obrazy Boskiej nie było i do roboty ludzieby się znaleźli i robiliby porządniej. Tak podług mojego pomiarkowania, ale co gadać po próżnicy, albo oni ztąd wyjadą?...

— Kto to wie?

— Nie, panie, wiadomo, że nie wyjadą. Jeden może się ułakomi na owe zamorskie dobra, a trzeci, dziesiąty zostanie.

— Zkądże Walenty może o tem wiedzieć?

— Jużci jest już takie założenie i pewnie nie ludzie to wymyślili, jeno chyba sam Pan Bóg miłosierny.

— O jakimże wy założeniu mówicie?

— Zawdy koło obory są muchy, koło zboża wróble i myszy, a koło gospodarzy żydy. Tak oddawna było i tak pono będzie do samego końca świata. Żaden doktor na to nie poradzi, proszę pana... choćby na to mówiąc, najczystsze ziarnem pole zasiać, żeby jak najlepiej zawlec, zawdy ziele się pokaże.

Rzekłszy to, Walenty pokłonił się i pochwaliwszy Boga, poszedł do swojej chałupy.

W tym samym czasie Icek podwójny jechał do miasteczka, żeby jeszcze różne interesa pozalatać. Wybrał się na całą noc furmanką, wynajętą od chłopa. Chłop drzemał na przodzie wozu i Icek chciał spać, ale nie mógł. Zapalił fajkę i myślał. Z początku o interesach, o wyjeździe, a potem puścił się na pole różnych dociekań ogólniejszej natury.

Icek pochodził z rodu myślicieli, z takiej pięknej rodziny, w której byli mężowie nabożni, uczeni i myślicy. Dość im było spojrzeć na cokolwiek, na najmniejszy przedmiot, aby wysnuć z niego całe pasmo bardzo wspaniałych i zawiłych kombinacji.

Ziarnko piasku, kropla wody drgająca na listku żdźbła trawy, dziurka w orzechu, bywały dla tych filozofów punktem wyjścia do bardzo dalekich wycieczek, nawet do wielkich wypraw w krainę myśli i dociekań. Icek nie odróżniał się od swoich przodków (w liczbie których był nawet jeden wspaniały) i jak tylko miał czas, wnet puszczał głowę w ruch i medytował.

Podczas tej jazdy nużącej, powolnej, bo szkapa z trudnością ciągnęła wóz po piasku, pod sklepieniem nieba usianego złotymi gwiazdami, w ciszy nocy pogodnej i cieplej, myśl przyszłego emigranta pracowała żwawo i swobodnie.

Icek miał przed oczami duży, bardzo duży punkt wyjścia do medytacji: chłopskie plecy. Wcale ładny kawałek pleców, szerokie, mocne, cokolwiek wygięte na zewnątrz, ale cokolwiek tylko; nad temi plecami, nad tym grzbietem zdrowym jak u konia, osadzona na szyi, kiwała się senna, drzemiąca chłopska głowa.

Wzrok Icka spoczął naprzód na tej głowie, ale nie zatrzymał się na niej długo, bo nie było na czem. Według obliczenia Icka, cała ta głowa wraz z czapką równała się wartości czapki, a wartość czapki mocno już podartej i przechodzonej, dla wielkiego ryzykanta była dwanaście, maksimum piętnaście groszy!

Czy warto się zastanawiać nad przedmiotem, który tyle znaczy co nic?

Szyja chłopska warta więcej niż głowa, ale ma tylko znaczenie pośrednie, wartość kanału albo rowu odpływowego, bo w szyi jest gardło, a przez gardło rozchodzi się okowita z gorzelnii i szynków.

Jest to poprostu rura, zwyczajna rura do przelewania gorzalki; z tej rury wychodzi niekiedy głos jak z rury, a tyle ma wagi i znaczenia co głos sam, jako głos, dźwięk pusty, nie wart nawet tyle, co nieokraszony kartofel...

Plecy...?

To jest wcale co innego. Pokrywa je sukmana warta rubla i pod sukmaną koszula nic nie warta, ale same plecy to jest interes.

Chłopskie plecy, przedmiot, nad którym warto pomyśleć. Icka wujaszek, wielce szanowny Gedalareb Gedala, jest po dzień dzisiejszy pełnym mądrości koszernym zarzynaczem bydła, owiec, gęsi i wszelkiego stworzenia, którego mięso może spożywać prawy izraelita. Icek zamłodu chował się trochę przy wujaszku, ztąd też posiada pewne wiadomości z anatomii.

Puścił w ruch całą mechanikę swej wyobraźni i zaczął w myśli rozbierać chłopskie plecy. Zaprawdę, to jest ciekawy interes.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KLEMENS JUNOSZA.

UROCZE OCZY.

KOMEDYA W CZTERECH AKTACH.*)

(Ciąg dalszy).

SCENA 8.

KASZTELANOWA, REJENT.

KASZTELANOWA.

Rejencie, podaj mi rękę. (Rejent pomaga jej do powstania). Muszę odetchnąć powietrzem ogrodu. (Rejent prowadzi ją ku drzwiom w głębi, które ona otwiera nerwowym ruchem ręki). Ach! (Oddycha przeciągle). Teraz mi lżej... Co za ludzie! co za ludzie!... Drażnili, obrażali... Pano- wałam nad sobą, aby nie wybuchnąć! To też do uspokojenia potrzebowałam powietrza, co płynie z niw, z traw i kwiatów, z pośród drzew polskich... ukochanych moich lip i topoli. — Karły! karły! złośliwe i nędzne karły!... — Słuchając ich, czułam nieraz płomień rumieńca na twarzy. — Trzeba z nimi jak najspieszniej skończyć, zapłacić... niech wyjeżdżają!

REJENT.

Ba! zapłacić... Łatwiej to powiedzieć, niż zrobić. Szambelan się targuje.

KASZTELANOWA.

Przecież bogaty?!

REJENT.

Pani kasztelanowa zna francuskie przysłowie o apetycie?...

KASZTELANOWA.

Służalec w potrójnej liberyi! (Po chwili). A tamten... a August?

REJENT.

Zgodzi się prawdopodobnie, bo zrujnowany.— Tego mi żal trochę... nieszczęśliwy, bardzo nieszczęśliwy.

KASZTELANOWA.

Nie mam litości dla handlujących sumieniem.

REJENT.

A właśnie pragnie je wykupić z zastawu.

KASZTELANOWA.

Wykupić... powiedz raczej uciec z pod obcego sztandaru, któremu na wierność przysięgał.

REJENT.

Pojęcia o przysiędze bywają różne. Bacząc na pesymizm jego przekonań, to, co uczynić zamierza, nie nazwałbym dezercją, lecz odwrotem... a może nawet powrotem do starej wiary.

KASZTELANOWA (opryskliwie).

Nie dbam o łatwo zmieniającą się wiarę i tanie sumienie. (Po chwili). Ach! to powietrze! to powietrze!... zdaje się, jakbym niem oddychała po raz pierwszy w życiu!... Ale czuję, żem zmęczona... Chciej mnie odprowadzić do fotelu. Ledwie stoję... zawrót głowy... nie mogę utrzymać się na nogach.

REJENT (mówiąc co następuje, odprowadza ją, sadowi i przysuwa taburecik pod nogi).

A jednak pani kasztelanowo, dali Bóg trzeba się krzepić, trzeba mieć siły, bo rzecz się komplikuje i może przeciągnąć się dłużej niż pragniesz. Oni wiedząc, że ich porękawiczne zależnem jest od ożenienia księcia z panną Teresą, gotowi wywierać na niego presję, sprzeczną z treścią układu. Książę słaby, chwiejny... a oni liczniejsi od nas, bo naturalnych aliantów posiadają w żonach.

KASZTELANOWA.

Ty rejencie... ty... miałbyś przegrać w walce z szambelanem i Matyldą!... Nie wierzę.

REJENT.

A ja, pomimo pochlebnej o mnie opinii pani kasztelanowej muszę odpowiedzieć, że uważam rezultat walki — jeśli koniecznie walczyć będzie potrzeba — za nader wątpliwy. Oni go znają, wiedzą więc, jak nań wpływać, jaką drogą czy ścieżką trafić do jego umysłu i serca.

KASZTELANOWA (z radością).

Zajęty Terenią.

REJENT.

Czy już?!... To trochę za prędko.

*) Autor zastrzega prawa swoje w obec scen polskich. (Przypisek Redakcyi).

KASZTELANOWA.

Kogóżby nie oczarowała jej prostota szczerą, wdzięk niewinności...

REJENT.

I posag. Ale pani kasztelanowo tu właśnie należy postawić pytanie, czy panna Teresa zajmie się również księciem?

KASZTELANOWA.

Spostrzegam, że się jej podobał.

REJENT.

Jako eks-powstaniec — niezawodnie; ale jako narzeczony i przyszły mąż — śmiem wątpić. Obecnie stara się o urząd dworski kamerjunkra.

KASZTELANOWA.

Nie on, nie on! Wspominał mi już o tem. Szambelan czynił zabiegi... namawiał go, ale księżę odepchnął propozycję ze wzgardą.

REJENT.

Czy tak?

KASZTELANOWA.

Niezawodnie.

REJENT.

Bądź co bądź, jak sędzę, dotąd w chwilowym upodobaniu panny Teresy, przeważa uczucie patryotyczne, od dziecka wszczepiane w jej duszę. Serce prawdopodobnie nie przemówiło jeszcze, a sercu — mnie mam — nie zechcesz pani kasztelanowo zadawać gwałtu?

KASZTELANOWA.

Kto wie?... może. Pragnę szczęścia Tereni, a w tym związku widzę jej szczęście.

REJENT.

Czy ona jednak widzieć je w nim będzie?

KASZTELANOWA.

Kocha mnie, zrobi zatem co zechcę.

REJENT.

Jeśli jednak, prócz pani kasztelanowej, kocha jeszcze kogo innego?

KASZTELANOWA (gwałtownie).

Kogo?

REJENT (po chwilowym namyśle).

A choćby Ludwika.

KASZTELANOWA (j. w.).

Nigdy!... To być nie może. (Chwilę myśli, potem mówi uspokojona). Nie, nie, nie... to być nie może.

REJENT.

Dla czego?... czyż nie jest dobrą partją?... Majętny...

KASZTELANOWA.

Ani mnie, ani Tereni — pojmujesz — o majątek nie chodzi. To co jej pozostawię, na dwoje wystarczy.

REJENT.

Dobrze urodzony...

KASZTELANOWA.

Za dobrze!

REJENT.

Nie rozumiem.

KASZTELANOWA (prawie szeptem).

Zbyt bliskie pokrewieństwo ich łączy.

REJENT.

Nie wiem nic nawet o powinowactwie.

KASZTELANOWA.

Ale ja wiem, niestety!

REJENT.

Racz łaskawie mi wytłómaczyć. (Chwila milczenia).

KASZTELANOWA (po krótkim wahaniu).

Nie chcę, nie mogę, nie powinnam. Tajemnica smutna... bardzo smutna.

REJENT (zmięszany).

Tajemnica!... która mu ujmę przynosi?

KASZTELANOWA.

Nie badaj rejencie. Ciekawością swą wystawiasz przyjaźń moją dla ciebie na ciężką próbę. Nic z tego co wiem wyjawić nie mogę.

REJENT (z wzruszeniem, panując jednak nad sobą).

Chciej mi pani przebaczyć, ale jestem dalekim krewnym Ludwika, byłem jego opiekunem, los zatem i dobra sława mego pupila żywo mnie obchodzi. Po raz pierwszy słyszę o tajemnicy, która ma być dla niego plamą... Czy plamą? (Kasztelanowa milczy). Dotąd, dali Bóg, o ile uważałem, pani kasztelanowa okazywała mi dużo życzliwości...

KASZTELANOWA (z mimowolnym wstrętem).

O!

REJENT.

Może wyraziłem się niewłaściwie... Nie... nie życzliwości... ale... uznania. Wszakże uznania? (Kasztelanowa milczy). Charakterowi jego nie miałaś nic do zarzucenia?...

KASZTELANOWA.

Szanuję go, jako Polaka i człowieka.

REJENT (nerwowo i z wznoszącym wzruszeniem).

Powierzyłaś mu pani zarząd całego swego majątku. Jeśli bezinteresownie podjął się administracji twoich rozległych posiadłości ziemskich, to przez cześć, jaką dla ciebie wyznaje, — niemal przez miłość synowską, bo pragnął oszczędzić ci zmartwień i kłopotów...

KASZTELANOWA (przerywa).

Wdzięczną mu jestem za to. Przyznaję, że mam względem niego obowiązki... ale dług zaciągnięty spłcę w testamencie, który dziś-jutro spiszesz. Inaczej nie mogę. Gdyby jednak śmiało sięgnąć po rękę Tereni, gdyby spokój jej niewinnej duszy zakłócił... o! to... (Urywa). Zmęczoną jestem, rozdrażnioną, upokorzoną obecnością tamtych, których nienawidzę, którymi pogardzam... Chryste Panie, przebacz!... (Robi znak krzyża świętego na piersi i powtarza szeptem). Przebacz mi, Chryste Panie! (Nagle wybucha). Ależ, ja ich przecie kochać nie mogę! (Znowu się żegna i mówi głosem pełnym smutku). Ach! bo i ty rejencie uwziąłeś się dziś na mnie... Dokuczasz. O! lepiej nie mówmy już o tem wszystkim!

REJENT (z gorączkowym naciskiem).

Przeciwnie, pani kasztelanowo dobrodziejko, o Lu-

ALFRED WIERUSZ KOWALSKI



ROMANTYK.

dwiku jeszcze mówić musimy. Honor jego jest dla mnie święty, jak mój własny.

KASZTELANOWA.

Któż honoru jego dotyka?!.. Gorączka z ciebie kochany rejencie. Tak natarczywie nalegasz, że gdyby nie długoletnia przyjaźń...

REJENT.

Zacna, czcigodna pani... przebacz, daruj, ale ja muszę wiedzieć, co mu zarzucasz.

KASZTELANOWA.

Żadasz tego koniecznie?

REJENT.

Proszę, błagam...

KASZTELANOWA.

Ha! Bóg widzi, że się opierałam.

REJENT.

Słucham...

KASZTELANOWA (szepcem).

Ludwik jest synem... kasztelana. (Rejent w pierwszym momencie robi gest zaprzeczenia, ale jakby sam przeląkł się tego gestu, cofa się na lewo w milczeniu).

SCENA 9.

CIŻ SAMI, SZAMBELAN, MATYLDA, HRABIA, KAROLINA, KSIĄŻĘ, TERENIA, LUDWIK. Wchodzą wszyscy z kieliszkami w rękę. MACIEJ za nimi z tacą i dwoma butelkami szampańskiego wina.

SZAMBELAN.

Przezacna babciu!... Na moją propozycję wszyscy, jak jeden mąż, powstali od stołu, aby przyjąć tutaj i wznieść toast na cześć twoją. (Do kamerdynera). Macieju! podaj nalany kieliszek panu rejentowi. (Maciej zbliża się do rejenta i podaje. — Szambelan zwraca się znowu do kasztelanowej i mówi z krasomówczą swadą). Twoje cnoty patryarchalne, szacunku godna matrono, twoje zasługi obywatelskie...

KSIĄŻĘ (przerywa).

Za pozwoleniem. Zastrześliśmy sobie, że mowę odłożysz na jutro. Dziś pani kasztelanowa zmęczona.

SZAMBELAN.

Ależ tylko słów parę...

KSIĄŻĘ.

Jutro... jutro. (Wznosi kieliszek w górę). Zdrowie pani

(Ciąg dalszy nastąpi).

kasztelanowej! (Wypija, przechodzi przez scenę i staje z prawej strony fotelu, na którym siedzi kasztelanowa).

KAROLINA i MATYLDA (razem).

Zdrowie babuni!

SZAMBELAN, HRABIA, LUDWIK i REJENT (razem).

Zdrowie pani kasztelanowej!

TERENIA (z kieliszkiem w rękę, klęka na taburecie przed babką).

Zdrowie babci ukochanej! (Wypija i całuje ręce kasztelanowej).

KASZTELANOWA (całując ją w czoło).

I ty mała z kieliszkiem w rękę?!... To podobno po raz pierwszy?

TERENIA.

Piję po raz pierwszy babuniu... ale już trzeci kieliszek. Czuję, że mi się kręci w głowie... i szumi, szumi, szumi...

KASZTELANOWA (z radością).

Jaka rozochociona!... Taką jej nigdy nie widziałam.

KSIĄŻĘ (mówi nachylając się do kasztelanowej).

Namówiłem pannę Teresę do tych trzech kieliszków. Przrzekła mi, że zdrowie twoje, pani kasztelanowo, wypije duszkiem.

TERENIA (pokazując pusty kieliszek).

I wypięłam!

KASZTELANOWA (z widoczną radością).

Dziękuję. (Całuje Terenię i podaje rękę księciu jak do uścisku). Dziękuję. (Księżę nachyla się i całuje podaną rękę z uszanowaniem).

LUDWIK.

Ach! (Otwiera drzwi od ogrodu i wychodzi).

KAROLINA (z rozdrażnieniem nerwowym do Matyldy).

Rozczulająca scena! (n. str.) Hipnotyzuje ją wzrokiem!

REJENT (n. str.).

Ooo! mości księżę... zaczekaj, jeszcze nie wygrałeś.

KASZTELANOWA (bierze kieliszek z rąk Tereni).

Macieju, proszę i mnie nalać... (Maciej zbliża się i nalewa)... pół kieliszka. Na podziękowanie... wszystkim. (Niesie kieliszek do ust).

Zasłona spada.

ZYGMUNT SARNECKI.

O SATYRACH KRASICKIEGO.

(Dokończenie).

Drugą rzeczą, która go silniej poruszała i zwracała najczęściej satyrę w swoją stronę, to był widok młodzieży, co jak ćmy leciała ku oświacie francuskiej nie dlatego, żeby zaczerpnąć z niej światła, ale żeby olśnić i spłonąć, to jest zniszczyć zdrowie i sumienie pod wpływem skażonego obyczaju francuskiego. Wybornie podpatrzył Krasicki tę płytkość i bezmyślność salonowych mędrków, co wraz z kontuszem zrzuciwszy przesady i zabobony dawne i przebrawszy się we fraki, czerpała wiedzę nie z głębokich źródeł, ale z ulotnych broszurek cynicznych i czuła się niesłychanie wyższą od swoich ojców, choć w bezmyślności

nic a nic im nie ustępowała, a w obyczaju gorszą była od nich. Całą satyrę »Mędrak« poświęcił tej bezmyślności, połączonej z zarozumiałością.

Doświadczenie przeczy,

Iżby można być wielkim i prędko i łatwo,
Rzemieślnik lata traci nad dłużem, nad dratwą,
A przecie rzadki dobry, choć proste rzemiosło.
Drzewo nim w pień, konary, w gałęzie urosło,
Nim kwiat padł, owoc dojrzał, długie pory przeszły.

A tymczasem u nas jest inaczej, u nas łatwo bez pracy zostać wielkim. Jakimże to sposobem?

Ciężka, mówię, rzecz człeku na sławę zarobić:

A ja mówię, że lekka, byle rzecz sposobić,
Byle umieć ulegać tym, co sławić mogą.

To też pełno u nas filozofów, »przemieniły się
w sofy cyników rogoże«, »pełno Dyogenesów nie
w becze lecz z beczką«

Sławni wielbieniem własnym i krzykliwą sprzeczką,
Czytają, a nie myślą, sądzą ślepem zdaniem,
A gmin czi dumne głupstwo owczem powtarzaniem.
Jakoż chcieć być uczonym, a mało się uczyć;
Siebie tylko wysławiać, a na innych mruczyć,
Dawać pismom ztąd wybór, iż je każą palić,
Ganić to, co chwalono, co ganiono chwalić;
Nowość tylko uwielbiać, zniżyć czasy dawne,
Czynić lotry sławnymi, podlić męże sławne;
Rozsądnych gminem nazwać, na błędy narzekać,
Czego dociec nie można, na pozór dociekać;
Za dowody żart dawać, gdy prawda dokucza:
Tem dzielna nowa mądrość, tych kunsztów naucza.

Ale mniejsza o to popisywanie się tanim a cudzym rozumem, o tę śmieszna zarozumiałość, gdyby pod nią nie kryło się coś gorszego: wyrzucie się z wszelkiej godności ludzkiej, z wszelkiego poczucia obowiązków, zupełny nihilizm moralny. W satyrze p. t.: »Przestroga młodemu«, mówi on o »rzeszy grzecznomodnej, rozpustnie wytwornej«, która jest wybora szkołą takiego nihilizmu. Tam się nauczysz — powiada młodemu —

Jak cnoć, gdzie ją znajdziesz, dać zelżywą postać,
Jak deptać wszystkie względy, żeby swego dostać;
Jak wzięwszy grzeczną tonu modnego postawę,
Dla żartu dowcipnego szarpać cudzą sławę;
Jak się chlubić z niecnoty, a w wyrazach sprośnych
Mięsząc fałsz z zuchwałością w tryumfach miłosnych.

A opisawszy tę szkołę, woła z głębokim żalem:

Taka to nasza młodzież! po skażonej wiosnie,
Jaki plon, jaki owoc w jesieni urośnie.

Porównywając taką młodzież z dawniejszą pod względem obyczajów, przyznawał wyższość tej ostatniej i wołał: »Bądź raczej cnotliwym nieukiem — Niż mądrym a bezbożnym«. Ale nie znaczy to wcale, aby chciał odwoływać hasło wieku, które sam tak gorliwie, z takim przekonaniem powtarzał. Nie nauka temu winna, tylko pedagogowie. Odróżniał Krasicki mądrość prawą i nieprawą. — »Mijaj mądrość nieprawą, Ta niech tobą rządzi — Co do cnoty zaprawia... Co się łącząc z pocziwym staropolskim gminem — Nie każe ci się wstydzic, żeś chrześcijaninem«.

A teraz spytajmy się, czy życie poety było zgodne z zasadami, które wypowiedział w tym swoim najznakomitszym utworze poetyckim. Czy nie mógł on sam siebie umieścić w liczbie tych Pawłów, Piotrów i Maciejów, których smagał tak rzeźwiście? Nie był pochlebca, nie był chciwym; lubił dobre wino, ale miary nie przebierał. Porównanie jego życia z satyrami jedną tylko wskazuje rażąca niezgodność: wybornie zalecał oszczędność, nakreślił doskonały wizerunek, jako wzór dla współczesnych, oszczędnego pana Michała. Ale sam stanowił przeciwieństwo z tym zalecanym przez siebie wzorem. Nie był on wprawdzie takim śmiesznym marnotrawcą, jak pan Wojciech w satyrze »Marnotrawstwo«, ani w ten sposób nierządnym, jak Piotr w satyrze »Oszczędność«, ale był i rozrzutnym i nierządnym po swojemu. Trochę też niezgodności zachodzi pomiędzy jego życiem, a tem pojęciem o powołaniu kapłańskim, które wypowiedział w »Pochwale milczenia«.

O wy! których powinnośc prawdę mówić jawnie,
Mówić słowo, przykładem potwierdzać ustawnie,

Milczenie was potępia, gdy myśl świecka trwoży:
Świątą śmiałość, bezwzględna niesie zakon boży.
Zbyt trwożliwą roztropność jak zgodzicie z stanem?
Znać, czuć, mówić, dać przykład, to jest być kapłanem.

Takim kapłanem nie zawsze był Krasicki. Ale tę swoją niedoskonałość czuł biskup warm. i dlatego w Antymonachomachii przyznawał się otwarcie, że »i on nie bez ale«.

Co się tyczy stanowiska, jakie satyry Krasickiego zajmują we współczesnej poezji polskiej, to trzeba powiedzieć, że są one najwyższym, najdoskonalszym, najharmonijniejszym utworem tej poezji, wierchołkowym jej punktem; są tem w okresie Stanisławowskim, czem »Pan Tadeusz« w mickiewiczowskim. Satyryczny duch okresu najharmonijniej w niej się wyraził, jak patryotyczny w mickiewiczowskiej epopei.

Nie wyrosły one samotnie na współczesnej glebie. Krasicki miał znakomitego towarzysza w tej sferze w Naruszewiczu, którego przyćmił blaskiem swojej poezji i miał mniej znakomitego, ale godnego pamięci poprzednika, którego zupełnie zaćmił i zasłonił swoją osobą przed oczyma potomnych. Tym poprzednikiem był pijar, Gracyan Piotrowski, rówieśnik Krasickiego (ur. 1735), który w r. 1773, a więc na pięć lat przed ukazaniem się zbioru satyr Krasickiego i Naruszewicza, wydał 25 swoich satyr p. t.: »Satyr przeciwko zdanom i zgorszeniom wieku naszego. Tom I.« Z tytułu i z przedmowy widać, że miał zamiar więcej ich wydać, gdyby się podobały. Satyra jego występowała niekiedy, podobnie jak Krasickiego, przeciwko mętom francuskiej oświaty, przeważnie jednak godziła w stronę sarmatyzmu i oświećlała słabe strony jego. Pod względem stylu stoi ona znacznie niżej nietylko od Krasickiego, ale i od Naruszewicza. Naruszewicz bywa rozwlekły, ale rzadko; bywa rubasznym i trywialnym dosyć często, n. p. gdy w satyrze »Sekret« mówi do kobiet:

Patrząc na wielomówność waszego ozora,
Rzekłbyś, że z was niejedna z owego jeziora
Etyopów chlęsnęła; zkaż, kto tylko pije,
Póty mu się mózg młyńcem po główicy wije.

Piotrowski w trywialnej rubasznosci dorównywa niekiedy Drużbackiej i Jabłonowskiemu — chociaż rzadko — a rozwlekłością swoją przypomina także poezję czasów saskich. Jednakże nie jest to pisarz bez pewnego talentu poetyckiego. W satyrach jego znajdujemy dosyć żywe obrazki obyczajowe, choćby n. p. w pierwszej satyrze p. t.: »Na zbytki stołowe, garderobne, y na łowy kosztowne, które przyprowadzają do nędzy potomstwo« — gdzie jest obraz szlachcica marnotrawcy, a raczej historia jego marnotrawstwa:

Jadę raz do Piotrkowa na wstęp trybunału
Spotykam idącego szlachcica pomału,
Boso, bez czapki, chociaż już było po lecie,
Sakwy tylko z szablikiem tłuką się po grzbiecie.
Proszę go do kolaski, spytam się zkaż rodem?
Co mu do tej podróży stało się powodem?
Aż słyszę imię godne, herb piękny, bogaty
Dom jego, sławne niegdyś w Polsce antenaty.
Zdziwię się i zawołam: A gdzież to mospanie
Fortuna? toż już waści na kontusz nie stanie?
Na konia? na kulbakę? i na pacholika?
On westchnie i mnie z temi słowami potyka. — i. t. d.

Tem bogactwem żywiołu epickiego zbliża się Piotrowski więcej do Krasickiego, niż Naruszewicz, jakkolwiek pod wielu innymi względami ustępuje temu

ostatniemu. Ale co jest rzeczą godną uwagi i charakterystyczną dla poezji współczesnej, to to, że Piotrowski nawiązuje swoją satyrę do satyry naszej XVI wieku, do Jana Kochanowskiego, którego echo odzywa się nietylko w tytule »Satyr«, przy którym wyraźnie dodano »za powodem satyra Jana Kochanowskiego«, nietylko w winiecie tytułowej podobnej do winiety utworu Kochanowskiego, ale i w niektórych ustępach satyr. W zakończeniu do satyr swoich Piotrowski nazywa Kochanowskiego »księciem wieszczów polskich« i razem ze swojemi satyrami i z jedną z satyr Naruszewicza (»Chudy literat«) drukuje całego Satyra Kochanowskiego.

Tym śladem tak wyraźnie wskazanym przez Piotrowskiego, poszli dwaj jego następcy: Naruszewicz i Krasicki. I u jednego i u drugiego znajdują się zwroty, wskazujące, że wczytywali się w poetę czarnoleskiego, w pierwszego twórcę satyry polskiej. Ale co ważniejsza, co bardziej zbliża i wiąże obu tych znakomitych pisarzy, zarówno jak i ich poprzednika, z Kochanowskim, to stanowisko jakie zajęli w swoich satyrach w obec fermentu nowych pojęć w społeczeństwie. Sytuacja była podobna; czem była w XVI wieku reformacja, tem w XVIII filozofia francuska. I jedna i druga wpłynęła w wysokim stopniu na wykształcenie, na rozwój niektórych nielicznych, ale przodujących jednostek. W XVI wieku, jako przykład można wymienić Modrzewskiego, w XVIII Konarskiego. Ale ogół szlachecki o lekkim, żywym temperamencie, o przesadnie rozwiniętym indywidualizmie, chwycił te nowe prądy jak w XVI, tak w XVIII w., przeważnie jako gimnastykę, jako sposobność popisu dla swego indywidualizmu; chwycił zewnętrznie, nie assymilując, nie przetrawiając należycie. Stąd i jeden i drugi prąd przynosił z sobą dużo niezdrowego fermentu i przynosił kosmopolityzm w jego najgorszym znaczeniu.

Kochanowski był jednym z najoświecześniejszych

ludzi swego czasu. Prądy humanizmu i reformacji spłynęły nań, wstrząsnęły jego duchem, rozszerzyły horyzont jego wyobrażeń. Ale go nie porwały, nie uniosły z sobą; nie utracił narodowego, tradycyjnego gruntu pod nogami; a widząc, jak wpływ obcy niepomyślnie oddziaływa na obyczaje, stawał w obronie tradycji w obec zalewających ją prądów reformacji. Wymownemu, biegłemu w dysputach reformatorowi religijnemu, u którego religia była w ustach, nie w sercu, przeciwstawiał dawnego Polaka, który podczas ewangelii pomykając korda, tak myślał sobie:

Nie umiem wywodów szerokich,
Żebym mógł Pańskich dosięć tajemnic głębokich:
Ale com raz obiecał na chrzcie Panu swemu
Nie służyć, póki we mnie dusza, jedno jemu,
Stoję przy tym statecznie i znam jego słowa:
Tych nie odstąpię, by mi tuż miała spaść głowa.

I tego Polaka wolał Kochanowski, niż wymownego sekciarza, bo dobrym chrześcijaninem nie nazywał on tego »co umie dysputować i ma gładką mowę«, »ale kto żywie według woli Pana swego«. W obawie o obyczaje powstawał przeciw gromadnemu wysyłaniu młodzieży za granicę, przeciw »postronnemu ćwiczeniu«, choć sam się ćwiczył postronnie, albo raczej dla tego, że sam się ćwiczył postronnie i poznał na sobie oddziaływanie zagranicznego wychowania.

Otóż Krasicki — bo Naruszewicza już tu pomijam — tak samo był jednym z najświetlejszych ludzi swego czasu, tak samo wiele zawdzięczał nowemu prądowi francuskiej oświaty, ale tak samo nie dał mu się porwać i unieść, nie stracił narodowego, tradycyjnego gruntu pod nogami. I choć mu trudniej było odwołać się do tradycji, bo około zdrowego jej ziarna nagromadziło się dużo nieczystości, potworności, odwołał się przecież do niej w satyrach swoich i podobnie jak Kochanowski stał na jej gruncie, broniąc tego, co było w niej zdrowe, to jest zdrowego obyczaju, któremu fala nowego prądu groziła rozkładem.

JÓZEF TRETIK.

TRAGIKOMEDIA KURLANDZKA Z CZASÓW SASKICH.

(R. 1727).

(Ciąg dalszy).

III.

Przybycie Maurycego do Kurlandyi. — Jego obiór. — Agitacye księcia Menżykowa. — Dołgoruki. — Narady z Kurlandczykami. — Zamach księcia Menżykowa.

Tymczasem przyjechał do Mitawy i Maurycy Saski, aby osobistemi stosunkami zjednać sobie przychylne dla kandydatury własnej głosy szlachty kurlandzkiej.

Księżna wdowa mile bardzo powitała pretendenta do tronu i do jej ręki, gdyż dla niej, żadnej zabaw, błasku i miłości, księżę Maurycy był uosobieniem tych zalet, jakie w małżonku widzieć pragnęła.

Jakoż, gdy nastąpił sejm, Maurycy jednomyślnie księciem kurlandzkim obranym został, a jednocześnie wysłano do Warszawy i do Petersburga noty, z zawiadomieniem o rezultacie wyborów.

Na wiadomość o takiej niespodziance, księżę Menżykow wyjednał wpływami swemi u dworu, iż wezwano księcia Dołgorukiego z Warszawy, aby bezwzględnie do Mitawy się udał i zarządził kontragitacyę przeciw obiorowi Maurycego.

Przybywszy do Mitawy, wezwał do siebie Dołgoruki prezydenta sejmu, Sackena, a gdy ten z dwoma deputatami: Medemem i Heuningem na wezwanie się stawił, oznajmił mu księżę, iż Rzplita przygotowuje zamach na udzielnosc Kurlandyi i że jedynie Rosya pragnie tę jej udzielnosc w calosci utrzymać.

Zanim jednak mógł się ks. Dołgoruki przekonać, że wszelkie przeciwne Maurycemu Saskiemu agitacye są spóźnione i że Kurlandya nie da się już zbić z toru, na który wstąpiła, nadeszły z Petersburga rozkazy, mianujące ks. Menżykowa głównym kierownikiem dyplomatycznej agitacyi w Kurlandyi, a jednocześnie rozporządzające dopełnienie nowego wyboru księcia w osobie bądź ks. Holsztyńskiego, lub też Hessen-homburskiego.

Przyjazd ks. Menżykowa do Mitawy wznosił silniejszy nacisk na Kurlandczyków, aby od swego kandydata odstąpili, lecz gdy oporu ich niczem złamać się nie dało, postanowił ks. Menżykow osobiście odwołać się do hr. Maurycego. Widzenie się obu rywali rezultatu nie odniosło. Postanowił ks. Menżykow



J. Ś. LEON XIII.

użyć groźby i zapowiedział, że Rzplita polska zmuszoną będzie unieważnić wybór Maurycego, o ile to unieważnienie dobrowolnie ze strony Kurlandczyków nie nastąpi.

Gra wzajemnych intryg była dosyć niebezpieczną, gdyż Rosya, nie mając tytułu do narzucania Kurlandczykom swej woli, musiała działać niby imieniem obrażonego samowolą szlachty kurlandzkiej Augusta II, a ten ostatni wprost przeciwnymi działał środkami.

Szły więc jedna za drugą noty Dołgorukiego do dworu, a tymczasem ks. Menżykow z właściwą sobie stanowczością postanowiwszy działać na własną rękę, przygotował oddział wojsk, by otoczyć dom ks. Maurycego, wziąć go w niewolę i takim sposobem usunąć niebezpiecznego rywala.

Zamach nie udał się.

Wojska nadesłane przez Annę Iwanównę, zmusiły Menżykova z utratą kilkunastu żołnierzy do cofnięcia się i niezadługo potem był już ksiązę w Petersburgu, dokąd go do odpowiedzialności za spełniony zamach powołano.

IV.

Sejm Grodzieński. — Unieważnienie wyboru Maurycego. — Mianowanie komisji egzekucyjnej. — Kłopotliwe położenie Kurlandczyków. — Zgon Katarzyny I. — Ks. Menżykow agituje na nowo.

Ku schyłkowi 1726 r. odbył się w Grodnie sejm Rzplitej, na którym oprócz rozpraw w sprawie toruńskiej, przysłała na stół i sprawa obioru Maurycego Saskiego. Hetman Pocij użył wszelkich wpływów, by wyjednać u stanów sejmujących zatwierdzenie tego wyboru, lecz dążność przyłączenia lenna kurlandzkiego do Rzplitej, zatamowała tę agitację i pod naciskiem Izby król August II zmuszonym był uznać elekcyę syna za bezprawną i zobowiązał się wydać stanom akt elekcyjny.

Maurycy uchwale sejmowej nie poddał się i przez stronników swoich usiłował sejm zerwać. Wniesiono zatem projekt ogłoszenia go za infamisa i banitę i uchwalono wysłanie komisji zbrojnej do Kurlandyi, a jednocześnie wydano konstytucyę, ogłaszającą unię Kurlandyi z Rzplita, po śmierci księcia Ferdynanda.

Szlachta kurlandzka znalazła się w drażliwym względem Maurycego położeniu. Nie chcąc zrywać z Rzplita, skłaniała się wszelako na stronę ulubionego swego kandydata. Z drugiej strony utworzyło się stronnictwo popierające unię z Rosyą (Kaiserling i Sacken), lecz zdanie szlachcica kurlandzkiego, Adama Kazimierza Kościuszki, przemawiające za bezwarunkowym poddaniem się woli sejmu, wstrzymało owe stronnictwo od dalszych w tym kierunku agitacyj.

Mimo to, Landtag kurlandzki utrzymał w swej mocy obiór Maurycego. Wysłanego z aktem owej uchwały do Warszawy, kawalera Medema aresztowano. Król August wydał rozkaz Maurycemu, by bezwzględnie Kurlandyę opuścił. Maurycy potajemnie pośpieszył na spotkanie króla do Białegostoku, by wyjednać odwołanie tego rozkazu, lecz napróżno.

Pozostało mu zatem otwarcie wystąpić w obronie nabytych praw i tym celem, przy pomocy hetmana Pocij zaczął się starać o zaciągi na Litwie.

Zgon Imperatorowej Katarzyny I, zmienił położenie na niekorzyść pretendenta. Do władzy nieograniczonej, w obec nieletności następcy tronu, Piotra II, dostał się znowu ksiązę Menżykow, osobisty nieprzyjaciel Maurycego.

Wysławszy oddział wojska pod dowództwem jenerała de Lascy do Kurlandyi, wezwał ks. Menżykova Maurycego, aby bez dalszej zwłoki Kurlandyę opuścił.

Maurycy postanowiwszy bronić swych praw zbrojną ręką, otoczył się gwardyą przyboczną i oszańcował na wyspie jeziora Uzmajtudze, gdzie ufny w siłę oręża wyczekiwał napadu.

V.

Delegacya komisji. — Ksiązę biskup warmiński. — Wyjazd do Kiejdan. — Oberburgraf Kościuszko. — Zapowiedź agitacji. — Jenerałowice de Lascy i Bibikow. — Pierwsze posłuchanie. — Awantura na wyspie jeziora uzmajckiego. — Ucieczka grafa Maurycego.

W miesiącu sierpniu r. 1727, wybrała się z Warszawy do Kurlandyi wydelegowana przez Rzplita komisya, celem ostatecznego uregulowania stosunku księstwa do Polski za życia i na wypadek zgonu księcia Ferdynanda.

Na czele jej stał uczony i znany z swych dyplomatycznych zdolności Jan Krzysztof Szembek, biskup warmiński, który z kanonika krakowskiego, scholastyka sandomirskiego i sekretarza koronnego, w r. 1724 na stolicę biskupią wyniesionym został.

Innymi członkami komisji byli: Kazimierz Ogiński, wojewoda trocki, Stanisław Denhoff, wojewoda połocki, Stani. Chomentowski, wojewoda mazowiecki. Z rycerstwa zaś: Jakób ze Skrzynna Dunin, referendarz i starosta wiślicki, Józef Nakwaski, starosta ciechanowski, Adam Krasieński, cześnik ciechanowski, Jakób del Campo Scipio, starosta lidzki, Jan Zygmunt de Wahlen, chorąży grodzieński, Antoni de Eperyesz, pułkownik gwardyi, Jan Branicki, chorąży, Jerzy Ożarowski, Wielopolski, Maksymilian Ossoliński, Józef Garczyński, Aleksander Łozdia Poniński, Kazimierz Sapieha, Michał ks. Radziwiłł, Kalinowski, Karwowski.

17 sierpnia 1727 ksiązę biskup warmiński przybył do Kiejdan w asystencyi prałatów i kanoników, gdzie zatrzymał się, oczekując przyjazdu wielu z wymienionych wyżej członków.

Nad wieczorem nadeszła od Adama Kazimierza Kościuszki, oberburgrafa mitawskiego, listowna do biskupa wiadomość, iż jenerał rosyjski Piotr hr. de Lascy, czyni szlachcie kurlandzkiej oświadczenia łaski dworu rosyjskiego z ostrzeżeniem, że komisya polska ma zamiar przeprowadzić unię Kurlandyi z Rzplita i podzielić ją na województwa, czego Imperator Piotr II nie dopuści. Wzywał zatem de Lascy szlachtę, by porzuciła Maurycego i otwarcie po stronie Rosyi stanęła.

Dnia 21 sierpnia przybył ksiązę biskup warmiński w dalszej swej podróży do Szawel, gdzie zastał już wysłańców rosyjskich: Piotra Lascy i Bibikowa, jenerałów, którzy mu wręczyli list cara Piotra II.

Piotr Piotrowicz Lascy, lub Lessie, jak go redaktor dyaryusza naszego stale nazywa, był z pochodzenia Irlandczykiem. Urodzony w r. 1678, za dojściem do lat młodzieńczych, wstąpił do służby francuskiej i walczył w szeregach Catinata, podczas wojen Ludwika XIV o następstwo hiszpańskiego tronu, a następnie przeciw Turkom w armii cesarza Leopolda. Zaciągnawszy się w r. 1700 do służby rosyjskiej, walczył pod Połtawą, gdzie zaszczytną odniósł ranę. Mianowany w r. 1710 komendantem Rygi, miał udział w walkach z oddziałami partyzantów Leszczyńskiego w Polsce. Służył pod dowództwem ks. Menżykova na Pomorzu i w Holsztynie. Bił się i w Szwecyi i w r. 1720 został jenerałem-lejtnantem. Celem wypę-

dzenia Maurycego z Kurlandyi, wysłano go z trzema pułkami piechoty i dwoma konnicami.

Towarzysz jego Iwan Iwanowicz Bibikow, lub też według dyaryusza, *Wibikow*, był generał-lejtnantem, a po odbyciu kampanii w Meklemburgu i w Holstynie, został w r. 1723 mianowanym oberprokuratorem kollegium, następnie w charakterze posła wydelegowany do Szwecyi w r. 1724, dodany został, jako biegły dyplomata, do ramienia generała Lascy, z misją agitowania w Kurlandyi na rzecz kandydata rosyjskiego.

Obaj delegaci pragnęli księciu biskupowi czynić jakoweś »propozycje« w Szawlach, lecz biskup tego nie dopuścił i zapowiedział, że dopiero w Mitawie, w obecności innych członków komisji, wysłucha przedstawień dworu rosyjskiego.

Tymczasem nadeszła wiadomość, iż w ubiegłą niedzielę, generał Lascy, przeprawiwszy się z kilkoma oficerami i z oddziałem wojska na wyspę jeziora Uzmajtudze pod Windawą, gdzie się Maurycy Saski był okopał i ufortyfikował, wezwał hrabiego imieniem cara Piotra, aby dobrowolnie tę wyspę i Kurlandję opuścił. Gdy Maurycy przekonał się przez wywiadowców, że wszelki opór w obec przemagającej siły wojsk oblegających byłby daremnym, uznał za właściwe kapitulować, z pozostawieniem sobie trzech dni czasu do wyjazdu. Nie czekał jednak upływu tego terminu i potajemnie umknął w kierunku do Francyi, gdzie przy pomocy swojej kochanki, Adryanny Lecouvreur, miał nadzieję pozyskać pieniądze na werbunek świeżych zaciągów.

VI.

Nowe usiłowania porozumienia się z księciem biskupem. — Posłuchanie w Janiszkach. — Odmowa przyjęcia warunków. — Przybycie dragonii polskiej. — Uroczysty wjazd do Mitawy.

Generał Lascy o władnawszy wyspą, przyaresztował stronników Maurycego, między innymi i pp. Destyllego i Głazenappa. Znaleziono na wyspie prochu beczek 130, działek 12 przywiezionych do Windawy morzem z Gdańska, prócz tego prowiantu beczek 2000, co wszystko Rosyanie zasekwestrowali.

Jednocześnie z tą wiadomością przybył do Szawel pan Kościuszko z synami i zapowiedział, że już gospody w Mitawie dla komisji są przygotowane, poczem odjechał.

23 sierpnia generałowie rosyjscy znowu domagali się audyencji u księcia biskupa, z oświadczeniem, iż mają polecenie odbycia jej na Litwie, a nie w Kurlandyi, lecz biskup dostępu im do siebie odmówił.

W dalszej swej podróży, zatrzymawszy się w Miszkucie, otrzymał ks. biskup od pp. Kaiserlinga i Brakela list z oświadczeniem, iż od elekcyi Maurycego odstępują i łasce biskupa oraz komisarzy się oddają.

W Janiszkach oczekiwali już na biskupa hetman Pocię i starostowie Scipio i Krasiński, z zawiadomieniem, że generałowie rosyjscy, jadąc trop w trop za komisją, nieustannie domagają się audyencji. Po długich naradach z komisarzami, zgodził się wreszcie książę biskup na dopuszczenie do siebie owych generałów w Janiszkach, lecz postanowił nie dać im żadnej odpowiedzi, aż dopiero w Mitawie, po ufundowaniu jurysdykcyi komisoryjalnej. Wysłano tedy do generałów p. chorążego grodzieńskiego Wahlena, z responsem takiej osnowy:

»że *pro honore principala* ich, Jego Imperatorskiej Mości, *convenientius esset*, (byłoby właściwsem)

aby w Mitawie, *a pleno congressu commissi*, mogli być wysłuchani (*exaudiri*), lecz gdy się napierają bardzo, tu więc, w Janiszkach, będą wysłuchani«.

Zaprosili tedy generała Lascy na audyencyę, lecz z tem zastrzeżeniem, by nietylko Mitawę, lecz i całą Kurlandję oczyścił z wojsk okupacyjnych, na co gdy pozornie generał oświadczył gotowość zgodzenia się, posłano doń zaproszenie na audyencyę.

Gdy generał Lascy przybył do rezydencyi księcia biskupa, w obecności panów komisarzy wyłuszczył najprzód niemieckim, a potem rosyjskim językiem, aby i generał Bibikow »*pro testimonio*« mógł zrozumieć, wreszcie francuską mową:

»że Pryncypał jego, Imperator upewnia Jegości księcia biskupa i Rzplita *de manutentione* wszystkich traktatów, osobliwie karłowickiego sojuszu, przytem *exposuit*, iż zależy Imperatorowi w somsiędstwie zostającemu, aby księstwo kurlandzkie przy prawach swoich zachowane było i na województwa żadne rozdzielone nie było; zaś po śmierci ks. Ferdynanda aby znowu księcia miało. A ponieważ graf Moryc już wypędzony jest przez nas, aby komisya nie zjeżdżała do Mitawy, a przynajmniej do dwu niedziel odłożona była«.

Ewakuacyę, jak tylko konie dla wyprowadzenia armaty przyjdą, przyobiecał.

Na tę propozycję generała, panowie komisarze respons, po ufundowaniu jurysdykcyi w Mitawie udzielić deklarowali, przyczem jednak książę biskup swoim i komisarzy imieniem po francusku »za dobry afekt podziękował«.

Wojewoda połocki ze swej strony przydał:

»że WPan masz ordynans od absolutnego Pana swego, abys interes tegoż promowował, my zaś mamy rozkaz od Jego Królewskiej Mości i od wolnej Rzplitej«.

Zaprosił książę biskup panów generałów na obiad i »przy rezonancyi kapeli« traktował.

Tymczasem generałowie wyjechali z Janiszek; nad wieczorem zaś zjechała pani wojewodzina Potocka, której książę biskup i komisarze wizytę złożyli.

Dnia 25 sierpnia przybyła do Janiszek dragonia koronna, »dobrze moderowna i konie dobre mająca, którą p. generał Mir prowadził, wszystko ludzie słuszni, od różnych regimentów komenderowani i prezentowali się biskupowi w polu«.

Dnia 26, o ćwierć mili od Mitawy, nastąpiło spotkanie komisji ze szlachtą kurlandzką, która otoczona przepychem, wśród niezliczonej liczby karet i chorągwi, cześć biskupowi wynurzyć spieszyła. Kanclerz Kaiserling miał mowę do biskupa. Bito w bębny i kotły przy wjeździe do miasta. Dzwony *pulsabantur*. Tłumy ludu na ulicach, w oknach i na dachach domów przypatrywały się wjazdowi orszaku biskupiego.

Książę biskup udał się do swej rezydencyi przy kościele, lecz tu zjawił się natychmiast generał Bibikow i upraszał imieniem p. Lascy, aby biskup komisję odroczyć raczył, »pókiby od Imperatora nie nadszedł respons«, lecz tak książę biskup, jako i wojewoda Potocki odpowiedzieli, »że to być nie może i że co król Jegomości i Rzplita postanowiła, chcą *exequi*«.

Niezwłocznie pojechał biskup z komisją na ratusz mitawski, a za nim pospieszyły i stany prowincyi kurlandzkiej. Po odczytaniu konstytucyi koronnej, reskryptu komisarskiego J. K. Mości, po sprawdzeniu

pełnomocnictw, ufundowano jurysdykcję przy odgłosie trąb.

Miał biskup mowę do szlachty kurlandzkiej, zachęcając do uległości woli Rzplitej, poczem dla umo-

(Ciąg dalszy nastąpi).

żliwienia liczniejszego Kurlandczyków zjazdu, zalimitowano komisję do d. 29 sierpnia, a tymczasem zaprosił biskup szlachtę na obiad. »Przepijano aż do samego wieczora«.

ALKAR.

LEON XIII.

PROFIL.

Było to przed kilkunastu laty, kiedy Leona XIII ujrzałem po raz pierwszy. W ogromnej sali nad portykiem watykańskiej bazyliki, odbywała się kanonizacyjna uroczystość. Sala podłużna, wysoka jak kościół, przedziwnie owieszona wiencami kwiatów i świateł, przepelniona była kilkotysięcznym, barwnym, gwarnym tłumem pielgrzymów, przybyłych ze wszystkich stron świata do wspólnej ojczyzny chrześcijan. W trzech rzędach łoż panie w czarnych koronkowych zasłonach lornetowały salę i rozmawiały z monsignorami w sutannach fioletowych i z sekretarzami poselstw w lśniących złotem mundurach. Na dole fala ludzi wirowała, kłębiła się, huczała, jak morze.

I naraz zrobiło się cicho, cicho tak, że słycać było syczenie wosku, palącego się w tysiącach gromnic.

Przez rozwarte szeroko podwoje pomiędzy czarną ludzką falą, rozstępującą się szeroko, wpłynęła inna fala, złocista, purpurowa. Szwajcarowie papiescy w swych malowniczych strojach żółtych i czerwonych, rysowanych przez Michała Anioła, z białymi kitami hełmów, wiejącymi w powietrzu.

Szambelanowie di cappa e spada, podobni do grandów hiszpańskich z czasów Filipa II. Guardia nobili w mundurach kapiących od złota. A dalej habity mnisze, gronostaje, purpura i złotogłów, czerwone i fioletowe płaszcze kanoników, trzystu biskupów w rokokach, czterdziestu kardynałów, wspaniałych w swej czerwieni, jak królowie. Orszak, jakiego nikt nigdzie po za wiecznym miastem nie zobaczy, podnoszący serce chrześcijanina, rwący oczy artysty. A jednak — nikt nań nie patrzył. Oczy wszystkich zwrócone były w głąb, czekając, szukając.

I naraz w tem morzu głów otworzyła się próżnia. Wstęga złocista i purpurowa urwała się i na mgnienie oka oddech ustał w tych tysiącach piersi.

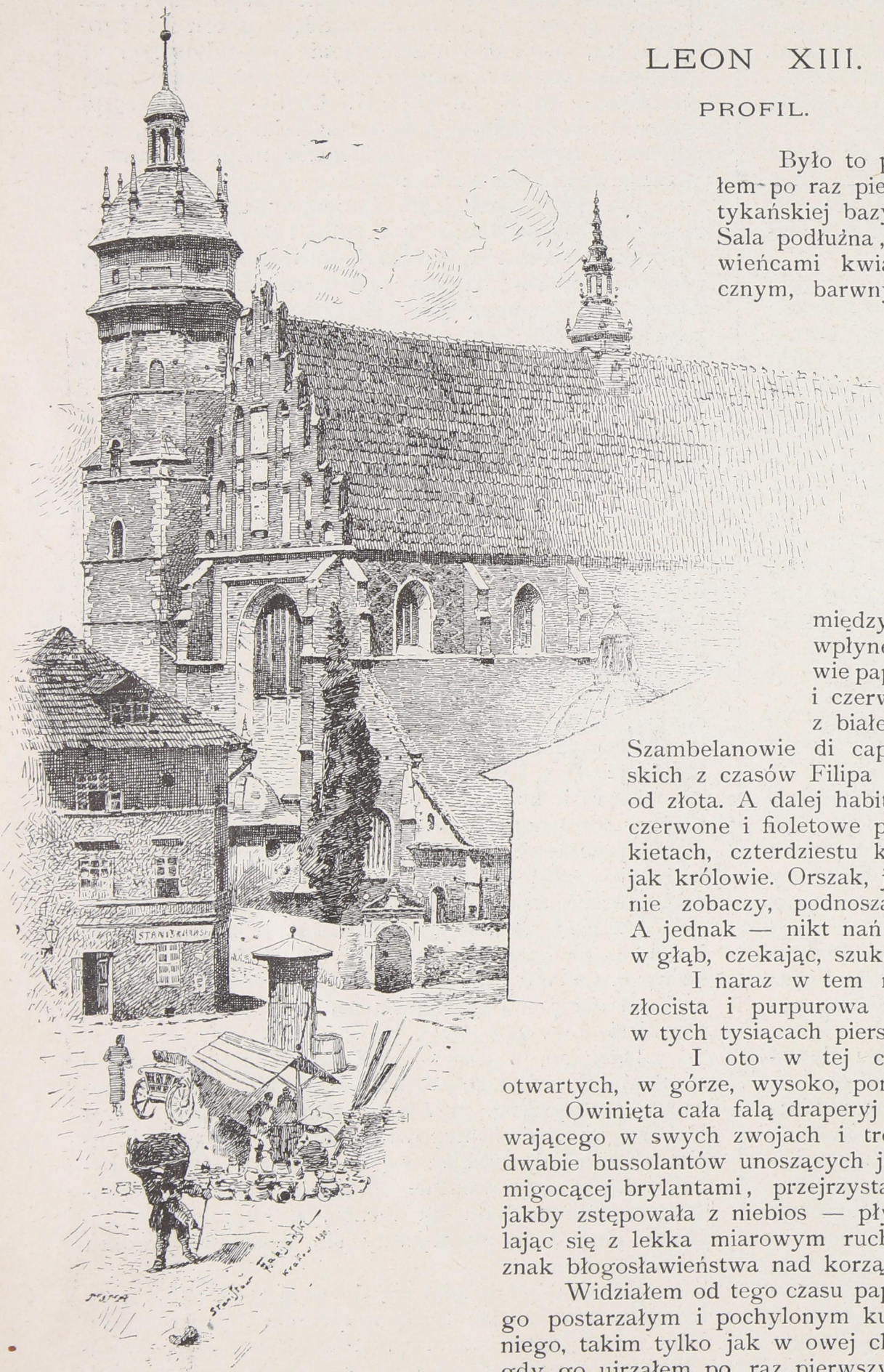
I oto w tej ciszy bezmiernego oczekiwania, w drzwiach otwartych, w górze, wysoko, ponad głowami, ukazała się ludzka postać.

Owinięta cała falą draperyj białego płaszcza, niezmiernej długości, okrywającego w swych zwojach i tron przenośny i dragi złożone i czerwone jedwabie bussolantów unoszących je — wyniosła mimo olbrzymiej tyary srebrnej, migocącej brylantami, przejrzysta, powiewna jak widzenie, a majestatyczna jakby zstępowała z niebios — płynęła ponad tłumem w powietrzu, przechylając się z lekka miarowym ruchem, aby z jednej i z drugiej strony kreślić znak błogosławieństwa nad korzącym się tłumem.

Widziałem od tego czasu papieża wiele razy — wiele lat później widziałem go postarzałym i pochylonym ku ziemi — ale gdy myślą wracać chcę do niego, takim tylko jak w owej chwili Leon XIII staje przed memi oczyma, gdy go ujrzałem po raz pierwszy jak nadziemskie zjawisko. Taką widzę tę

postać alabastrową i przejrzystą a pełną siły, przetrwioną myślami, imponującą dziwnym majestatem, z jej ostrym profilem i zagadkowym uśmiechem, z okiem w dal zwróconem, palącym się młodzieńczymi ogniami — i szerokim, patetycznym trochę ruchem, który rzeźbiarz uchwyciłby i odtworzył w marmurze tak chętnie. Postać dziwna, niedzisiejsza i do żadnej dziś niepodobna, pozbawiona banalnego uroku i tej atrakcji sympatycznej, jaką pociągają miernoty, — ale pociągająca nieprzeparcie, jak pociąga wielkość duchowa i potęga.

To połączenie delikatności niezmiernej z niezwykłą siłą, uderzające w pierwszym spojrzeniu na twarz Leona XIII, jest bodaj najcharakterystyczniejszym rysem całej jego działalności. Żelazo owinięte w aksamit — powiedziano to o wielu; — o nikim słuszniej, niż o nim. Przypatrując się szczegółom i pojedynczym objawom



jego rządów, nim się całość ogarnie, ma się nieraz uczucie miękkości samej tylko. Patrząc na owoce piętnastoletniego pontyfikatu, widzi się i ocenia jasno, że miękkość pozorna nie zmięczyła w niczem całej treści życia i działania, że łagodność nie stała się nigdy słabością, a zgięcie się pozorne, nagięciem stałem, że ustępstwa chwilowe były zawsze tylko pojedynczym ogniwem akcji szerokiej, której skutkiem posunięciem się naprzód zawsze prawie, a nieraz zwycięstwo.

Początek pontyfikatu Leona XIII był jednym z najtrudniejszych pomiędzy wszystkimi, jakich pamięć zachowała dzieje. Poprzednie rządy zostawiły w stosunkach politycznych szereg zawikłań i problematów, które zdawały się nie do rozwiązania bez cudownej interwencji z góry. Z drugiej strony wielka postać Piusa IX górowała nad kościołem i zdawała się sobą zakrywać i przyszłość — i następcę, tak dalece, jakby go naprzód miała zniżyć do roli biernego naśladowcy. Uwielbienie — choćby zupełnie uzasadnione, jak w tym wypadku — jest zawsze cokolwiek jednostronnem. Świat katolicki nie pojmował, aby kościoła bronić i obronić go można było inaczej, niż tak, jak to czynił Pius. Zmiana taktyki stawała się u jednych brakiem pietyzmu, u innych po prostu odstępstwem. Świat niekatolicki od zmiany frontu oczekiwał tego, czego katolicy obawiali się słusznie, i gotując wieńce i kadzidła dla papieża pokoju, pragnął i spodziewał się, że niemi okryje rozpoczętą przez niego ruinę kościoła.

Stało się inaczej — inaczej pod każdym względem.

W stosunkach politycznych Leon XIII stanął pozornie na odmiennym stanowisku od poprzednika. Pius był świętym — a święci nie zawsze liczą się z koniecznościami smutnego doczesnego życia. W niebo patrząc, zapominają czasem o ziemi. Leon był mężem Bożym — ale mądrość świata tego posiadającym w całej pełni. Zrozumiał on odrazu, że chcąc wielki cel osiągnąć, należy mniejsze względy poświęcać i nie cofać się przed niejedną ofiarą; że chcąc w zasadzie zwyciężyć, mądrzem jest robić ustępstwa w formach zewnętrznych, w kwestiach osobistych i przejściowych;

że w walkach współczesnych nie zwycięża się bez ustępstw i kompromisów, a zwycięża się najłatwiej, stając na terenie przeciwnika, i że wreszcie półodwrotu jest nieraz manewrem zapewniającym całe zwycięstwo. To była polityka Leona XIII względem tych mocarstw, które z poprzednikiem jego toczyły zaciętą walkę; polityka, sądzona nieraz z uprzedzeniem i urazą, sądzona tak dla tego, bo widziano jej zewnętrzne formy, drobne ustępstwa i parę ustępstw ważniejszych, nie znając ani ceny, za jaką robione były, ani ich rzeczywistego celu, ani całej myśli przewodniej polityki papieskiej. Krzywiono się na pewne kościelne nominacje, wskazując najsluszniej zresztą na kandydatów i właściwszych i lepszych i najpewniej Stolicy świętej miłszych, ale zapominając o tem, że w zamian za ustępstwo w kwestyi osób, będącej bądź co bądź czemś przejściowym i drugorzędnym, uzyskiwało się ustępstwa w kwestiach pierwszorzędnego znaczenia, bo w kwestiach zasad. Gorszono się — może nie bez złej woli — pewną gotowością do robienia nieraz pierwszych kroków w układach, pewnymi grzecznościami i ostrożnościami — a spuszczano z uwagi rezultaty otrzymywane tą drogą. Konkordat byłby już od kilkunastu lat zerwany we Francji a kościół francuski zmieniłby się w ruinę, której wieki całe nie zdołałyby odbudować, gdyby nie oględna polityka późniejszego kardynała Czackiego i jego następców, spełniających instrukcje Papieża. Pokój religijny w Niemczech nie doszedłby nigdy do skutku bez pewnych osobistych ustępstw i pewnych grzeczności, które mogły być niemiłe katolikom, jak

były ciężkie i przykre dla robiącego je Papieża, ale w zamian za chwilową stratę, przynosiły dla kościoła zysk trwałe.

Zapewne dla ludów katolickich, zwłaszcza w dniach ucisku, miłsze było działanie Piusowe. Głos wielkiego Papieża rozlegał się po świecie jak piorun, gromiąc nieprawność, niosąc cierpiącym otuchę i pociechę. Ale prócz słów pociechy, prócz modlitwy i błogosławieństwa na dalszą mękę i dalszą ofiarę — starzec bezbronny, sam uwięziony w Watykanie, nic im dać nie mógł. Leon XIII umiał przynieść ulgę nie duchową

LEON WYCZÓŁKOWSKI.



WAJDELOTA.

tylko, ale materyalną. Wstrzymał niejedną groźbę; naprawił, uleczył niejedno złe. Ale ażeby to mógł uczynić, musiał gwałt nieraz zadać ustom, sercu.

Gdy wszedł na Stolicę Piotrową, stosunki dyplomatyczne zachowane były tylko z Francją, Austrią i Hiszpanią; z Portugalią chwiejące się, z paru republikami amerykańskimi — najniepewniejsze. Obecnie, zamiast sześciu czy siedmiu, dwadzieścia państw znajduje się w stałym wzajemnym stosunku dyplomatycznym z Watykanem. Z Prusami pokój zawarty został z małemi wyjątkami na podstawie status quo ante. We Francji Leon XIII — i on jeden tylko — mądrością swą ochronił obecny byt kościoła i jego najważniejszych instytucyj. Rozwój świetny i utrwalenie katolickiego życia w Hiszpanii jest wprost dziełem wielkiego Papieża. Z Portugalią zawarty został możliwie korzystny konkordat, stanowiący punkt zwrotny i początek religijnego odrodzenia tej ojczyzny wolnomularstwa. Rozsądna a umiarkowana polityka w Irlandyi postawiła tamę szerzącemu się fenianizmowi i radykalnym szowinistycznym prądom — i wyrobiła grunt za wpływem duchowieństwa dla realnej polityki, zaczynającej dziś już przynosić tyle korzyści biednemu narodowi. W Szwajcaryi, opanowanej przez radykałów, udało się Leonowi XIII znaleźć kwadraturę koła, przeprowadzając znany mistrzowski układ w sprawie rozgraniczenia dyecezyj (zwłaszcza Bazylei-Lugano) i uregulowania kościelnych stosunków. W Turcyi, wbrew rosyjskim intrygom, udało mu się zniszczyć schyzmę ormiańską i wrócić katolikom kościoły i zakłady. Z Brazylią, mimo przewrotu, stosunki zostały utrzymane, a obecne położenie polityczne wyzyskane na korzyść kościoła. Z Kolumbią, Wenezuelą, z Chili, z Urugwajem — kraje, które za Piusa IX były w wojnie otwartej z kościołem — zawarto konkordaty i unormowano położenie katolików w najkorzystniejszy sposób; ulepszono znacznie położenie kościoła w Meksyku, w Ameryce środkowej, w Peruwii i Argentynie.

Uregulowanie stosunków dyplomatycznych było tylko środkiem, prowadzącym do unormowania i rozwoju wewnętrznego życia kościoła w poszczególnych krajach. Do tego zaś pierwszym warunkiem musiała być jedność i wspólna praca katolików w każdym kraju.

W Niemczech i Francji, w Hiszpanii, Belgii i Ameryce, jedność ta stała się przedmiotem wyęzionej pracy Ojca św. Bankructwo polityczne, a niejednokrotnie okazana zła wiara w rzeczach wiary u monarchistów francuskich, zdecydowała Leona XIII na jedną z najszcześniejszych, najenergiczniejszych i najobfitszych w owoce akcji jego pontyfikatu, na akcję mającą na celu wytworzenie we Francji na tle istniejących faktycznie stosunków, katolickiego centrum. W Hiszpanii rozbicie monarchistów na dwa obozy hamowało wszelki rozwój zachowawczych i chrześcijańskich zasad. Żelazną dłonią złączył oba odłamy katolików w jedno Leon XIII i od tego czasu datuje się obecny niezmiernie szczęśliwy i świetny stan kościoła hiszpańskiego.

Kościół w duchu swym i treści ma dążność ekspansywną. Żaden Papież może nie zdawał sobie z tego sprawy tak dobrze, jak Leon XIII. Pierwszym jego aktem było utworzenie hierarchii kościelnej ustalonej w Szkocyi, za czem poszedł niezmierny rozkwit szkockiego kościoła. Później utrwaloną podobnie została hierarchia w Indjach i Japonii. Kilkadziesiąt nowych dyecezyj i wikaryatów w Anglii, Austrii, Ka-

nadzie, Stanach Zjednoczonych, Meksyku, Ekwadorze, Kolumbii i Argentynie, w Indjach, Chinach, Afryce i Australii, są pomnikiem gorliwości apostolskiej Leona XIII. Afryka cała, do niedawna niedostępna, została przez niego pokryta siecią misyi. W ślad za eksploratorami, przenikającymi w głąb ciemnego kontynentu, Leon XIII słał misyonarza i siostrę miłosierdzia. Żaden papież tylu krajów nie otworzył dla światła ewangelji od wieków całych. Żaden tyle dla misyi nie uczynił.

A obok cywilizacyjnej misyi kościoła ratującego dusze — misya humanitarna. I tu znowu Leon XIII wódz współczesnej krzyżowej wyprawy przeciw niewolnictwu, zapisał swe imię w historii wśród największych i najlepszych.

Ale nietylko w wyprawie przeciw niewolnictwu czarnych. Także i w wielkiej walce o wyzwolenie białych niewolników.

Zagadnienia socyalne do niedawna mieszano i identyfikowano z wielkim rewolucyjnym problematem, podciągano pod wspólny poziom rewolucyjnych postulatów. Kościół w obec rewolucyi występujący obronnie, w podobny sposób spoglądał na prądy podziemne, nurtujące wśród wydziedziczonych i wyzyskiwanych, pozbawionych od czasu rewolucyi praw i godności człowieka, obywatela, chrześcijanina.

Leon XIII spojrział głębiej. Zrozumiał, że w prądach socyalnych są zdrowe czynniki i świeże, dzielne siły, mogące w walce z nowocześnie poganstwem przynieść potężną pomoc. Odczuł, że w żądaniach wiele jest słusznych i uzasadnionych — i nie ustępując ani kroku z wielkich wytycznych linii, jakich trzyma się kościół, potępiając przewrotne dążenia i niemożliwe uroszczenia — wyciągnął dłoń ojcowską ku robotnikom, głośno ujął się za nimi i wskazał na kościół, jako na pośredniczący i rozstrzygający czynnik w zatargu własności z pracą i wielkich z małuczkimi.

Myśliciel, uczony, literat wytworny, wypoczywający po trudach całodziennych przy kreacji łacińskiego dystychu lub heksametru, Leon XIII stał się mecenasem nauki i sztuki w najszerszym słowa znaczeniu. Cały świat wie, jak wysoko podniósł poziom teologicznych nauk, a specjalnie tomistycznej filozofii. Mnóstwo naukowych publikacyj, przepyszne obserwatorium astronomiczne w Watykanie, regulamin watykańskich archiwów, otwarcie technologicznego instytutu i kilku kolegiów w Rzymie, całego szeregu szkół, czeskiego, ormiańskiego, hiszpańskiego, kanadyjskiego seminarium, centralnych zakładów teologicznych dla Benedyktynów i Cystersów, utrzymanie mnóstwa seminarjów i kolegiów we Włoszech — wszystko to jemu zawdzięczyć trzeba. Przedziwna restauracja bazyliki laterańskiej kosztem kilkunastu milionów, a w niej grobowiec wzniesiony Inocentemu III — to jedna tylko z wielu zasług Leona XIII dla sztuki.

A dla nas? Dla nas, dla których Pius IX był ojcem, czy Leon XIII był nim także, czy stać się nim chciał i umiał? Kwestya drażliwa — o której mówi się wiele: źle najczęściej i błędnie, a pisze się nieraz niezręcznie, czasem z rozmyślną złą wolą. Dotknąć jej trzeba — dotknąć szczerze i otwarcie — i bez obawy. Odłóżmy przedewszystkiem na stronę to co jest sympatyą lub niechęcią, uprzedzeniem lub przesądem. Odłóżmy gadaniny nie dające się udowodnić, obawy oparte na czczych przypuszczeniach, odrzućmy artykuł dziennikarski i plotkę salonową — co zostanie?

Zostaną fakta. Za Piusa IX rząd rosyjski skasował trzy dyecezye łacińskie i jedną unicką, unitów na papierze przywiódł na prawosławie, skasował $\frac{9}{10}$ klasztorów w królestwie i cesarstwie, tudzież paręset kościołów, wywiózł wszystkich biskupów, prócz paru niedoleźnych z wieku i jednego z uległości dla rządu, narzucił administratorów dyecezyom, urządził gatunek synodu katolickiego w petersburskiem kollegium, pogmatwał całkowicie wszystkie kościelne stosunki, zniszczył, zburzył, co tylko się dało. W Prusiech wygnano biskupów i kapłanów, szkołom odebrano charakter wyznaniowy — przeciw polskości i katolicyzmowi wydano hasło: *ausrotten!*

Pius IX protestował, upominał prześladowców, błogosławił ofiary. Więcej zrobić nie mógł. Jedyna nominacja biskupów w Rosyi w roku 1873 wypadła — w połowie przynajmniej — bardzo nieszczęśliwie.

Leon XIII zastał same ruiny. Owocem układów z rządem pruskim był naprzód Arcypasterz Polakom przyjazny, — później Polak i to najlepszy. Owocem układów z Rosyą stały się: nominacje biskupów, najlepszych, najgorliwszych, najdoskonalej odpowiadających

zadaniu — i to wymuszonych nieraz u rządu rosyjskiego; ulgi pewne w szczegółach... trochę skromnych nadziei na przyszłość, trochę może hamulca w ucisku. Nie wiele, zapewne; ale zawsze więcej niż to mógł uzyskać papież tak gorąco miłujący Polskę, jak wielki Pius. — Dla czego nie więcej, nie wszystko? Dla czego Ojciec św. nie wyrobił swobody wyznania unitom, oddania kościołów, powrotu wygnanców? Mój Boże! Po prostu dla tego, że na poparcie tych żądań nie miał miliona bagnetów.

I dla Polski więc, w mierze możliwej, Leon XIII zrobił wiele, niezmiernie wiele — i słusznie należy mu się za to i wdzięczność i zaufanie. Jubileusz tak świetnie obchodzony — tam, gdzie go u nas obchodzić było wolno — pokazał, że te dwie cnoty żyją w naszym społeczeństwie. Daj Boże, aby żyły i w przyszłości, daj Boże, abyśmy nie dawali posłuchu głosom, próbującym nas oderwać od jedynej naszej podpory na świecie i osłabić w nas ufność i wiarę w tego, który ojcem jest dla całego chrześcijaństwa, ale sam się nazwał specjalnym ojcem i opiekunem Polaków.

X. JAN GNATOWSKI.

Z POWODU NAJNOWSZEGO DZIEŁA Prof. ST. TARNOWSKIEGO.

(Studia do historii literatury polskiej. Wiek XIX. Zygmunt Krasiński. W Krakowie 1892, w 8ce; str. VIII i 695).

(Dokończenie).

III.

Z ciekawością, więcej nawet powiem: z pewnego rodzaju wzruszeniem, które porównać by tylko można do uczucia, z jakim się do popiołów wielkich ludzi zbliżamy, bierze się do ręki dzieło o żywocie i piśmach autora »Przedświtu«. Staje bowiem równocześnie przed oczyma upokarzające przypomnienie, jak mało nauka nasza dotychczas dla pamięci wielkiego poety zrobiła; jak niedostatecznie oświetliła jego utwory, wyjaśniła ich genezę i tajemniczy związek, łączący dzieło z autorem. Imię jego było dotąd pewnego rodzaju »dźwiękiem pustym, trwającym przez pokolenia«, skoro tym pokoleniom nikt nie postarał się wytłómaczyć, ile życia musiał wziąć twórca »Irydyona« z swego własnego istnienia, aby je wlać w swoje płody.

Prawda: raz, przed trzydziestu laty, wielki stylista i pisarz odsłonił tajemnicę bezimiennego poety przed publicznością — obcą. Do nas doszły zaledwie echa (na szpaltach *Dziennika Literackiego*), a i te chyba — pomimo całej znakomitości utworu — nie mogły głodu zaspokoić, skoro celem artykułu było tylko informowanie cudzoziemców: czytelników dwóch światów, z których żaden światem polskim specjalnie nie był. Artykuł Klaczki musiał z natury rzeczy objaśniać wiele rzeczy, które dla nas są jasne i na odwrót pominąć wiele kwestyj, któreby nas zajęły; — nic dziwnego, że tylko mistrzostwo autora zdołało stworzyć w takich warunkach rzecz, która i w historii naszej literatury zajęła pierwszorzędną stanowisko. Zresztą od tego czasu przybyło tyle nowych i wyczerpujących życie i sprawy Krasińskiego materiałów źródłowych, że przetworzenie ich w jedną całość, tłómaczącą duszę człowieka i umysłowość artysty, było nie tylko potrzebą, było także i obowiązkiem naszej nauki.

Tymczasem nauka nasza — milczała. Od czasów rozpraw Małeckiego (w *Przegl. poznańskim* i *Roku*)

i Klaczki możnaby wskazać zaledwie kilka małoważnych i drobnych studyów, odnoszących się do tego przedmiotu, nie kuszących się jednak bynajmniej o rozwiązanie smutnej tragedii Krasińskiego. Rzecz dziwna, że ten właśnie poeta, którego poezya najwięcejby może mogła dostarczyć pola dla krytycznej dyssekcji, poeta, który we wszystkim, co pisał »wszędzie cząstkę swej duszy zostawił«, zaciekawiający czytelnika swą pozorną odrębnością w obec współczesnych prądów literackich, a nęcący go równocześnie widocznym podobieństwem swej umysłowości do najpierwszych myślicieli naszego kraju, rzecz dziwna, że on właśnie był najrzadszym przedmiotem rozbiórów i rozpraw. Mickiewicz w długim szeregu pracowitych badań historyczno-literackich, w kilku tomach poświęconego sobie »Pamiętnika«, w ostatniem wreszcie doskonałem — wydaniu dra Biegeleisena, znalazł najlepsze, na jakie nas stać było, uznanie i wdzięczność. Grobowiec Słowackiego na cmentarzu paryskim upada wprawdzie w gruzy; ale od lat dwudziestu kilku ma on już w literaturze naszej trwalszy od kamiennej ruiny pomnik. Dziś dopiero przyszła kolej na Krasińskiego: pierwszy raz podano nam dzieło większe, dzieło niepowседневnej wartości, poświęcone twórcy »Irydyona«.

Książka jest doprawdy niepowszednia. Nie ma chyba nikogo w całej Polsce, ktoby Krasińskiego tak trafnie pojąć i wytłómaczyć był w stanie, jak prof. Tarnowski. Pominawszy stronę materyalną: łatwą dostępność wszelkich źródeł i tradycji, do poety się odnoszących, dość przypomnieć, jak wielkiej subtelności etycznego i estetycznego zmysłu wymagają badania nad tym właśnie poetą. Stać na chłodnym, referującym czysto stanowisku w obec twórcy »Psalmów« lub »Przedświtu«, znaczyłoby pozbawić się z góry możliwości wyświetlenia tych utworów przed czytelnikami. Natura przedmiotu wymagała tu na każdym kroku, aby wejść w sam środek żądź, pragnień i da-

zeń wielkiego poety, mózgi je odczuć wszystkie, przeniknąć i zdać sprawę z każdej. I to nietylko ich wewnętrzną, polityczną czy etyczną stronę: Krasiński był równocześnie wielkim artystą, a swoich filozoficznych pomysłów nie przelewał w publicystyczne artykuły. »Irydyon«, »Nieboska«, »Przedświt« są przede wszystkim arcydziełami sztuki, a żeby je wyjaśnić i rozebrać, należy uwzględnić nietylko treść i ich tendencję, ale także i estetyczną stronę. Prof. Tarnowski złączył zaś w sobie — jak nikt inny — wszelkie warunki, jakie trzeba było mieć, aby tym wymaganiom mózgi zadość uczynić.

Skarżył się raz Krasiński na pierwszą — jaka się pojawiła — naukową pracę o »Irydyonie«: »Krytyk nożem chirurga (ale doskonałego) rozerznął na najdrobniejsze mięśnie, ścięgna, włókna, żyłki, arterijki ducha Irydyonowego. Czytając, czułem to, co muszą czuć ci, którzy eteru zażywszy, są dyssekowani. Dziwne wrażenie, bezbolesne, a jednak to twe ciało różną i twoją krew płynie«. (Listy I. str. 331). Przytoczyliśmy to zdanie umyślnie, żeby zastrzedz z góry, że dzieło, jakiego się dziś doczekał, nie jest bynajmniej w najważniejszych swych częściach dyssekcją, analizą, rozkładającą chemicznie pierwiastki: jego znaczenie polega raczej na skupianiu tych pierwiastków (które się na wytworzenie Krasińskiego złożyły) w wielką całość, na zestawieniu szczegółów w jeden obraz, będący w całej galerii wizerunków literackich, jakie posiadamy, najwierniejszym i najsubtelniejszym zapewne portretem.

Streszczać książkę, która ma wszystkie dane, aby dotrzeć do jak najszerzej publiczności, byłoby pracą równie niewdzięczną, jak bezcelową. Chcielibyśmy tylko zwrócić uwagę na parę punktów, dotkniętych w niej lub rozwiniętych, które zastanawiają nowością swą lub znaczeniem.

A najprzód: łączność i zależność Krasińskiego od współczesnej mu szkoły literackiej — od romantyzmu. Nie zwracano dotąd uwagi dostatecznej na ten fakt, tłumaczący nam jasno wszystkie niemal wady poezji Krasińskiego. Punktem wyjścia dla jego twórczej działalności było naśladowanie Walter-Scotta, barda średniowieczny i rycerstwa. Pierwsze utwory Zygmunta mają widoczną skłonność do szukania efektów w tłach ponurych, rycerskich, krwawych, kreślonych naprzemian z jaskrawymi obrazami bitew, uczt i orgij. Są to wszystko pierwiastki łączące jego ówczesną manierę z najniezdrowszymi stronami młodego prądu. Potem nagły przeskok w sposobie pisania: przychodzi bowiem niespodzianie »Nieboska komedia«^{*)}. Tutaj zaś odnajdujemy bodaj czy nie najlepiej i najwierniej w literaturze naszej scharakteryzowany typ człowieka, wzrastającego pod wpływem romantyzmu, typ, który obok Gustawa i Kordyana jest rodzajem historycznego dokumentu do dziejów ówczes-

*) Wytlómaczenie tego przeskoku, na podstawie dziś istniejących materiałów, nie jest rzeczą możliwą. Rozstrzygającym momentem będzie tu zapewne: 1) Ogłoszenie korespondencji Krasińskiego z jego przyjacielem Anglikiem Reeve, z której ma wyjść podobno na jaw, że »Irydyon« był wcześniejszym dziełem od »Nieboskiej« (jak to zapowiada artykuł hr. Dębickiego w *Czasie*). 2) Ogłoszenie drukiem fragmentu dwuaktowego na tle legendy o Wandzie, pochodzącego mniej więcej z lat 1831—1832, a spoczywającego dotąd w rękopisie u hr. Cieszkowskiego. Fragment ów znany mi jest tylko z dwóch fejetonów *Kuryera Poznańskiego* (z dnia 12 i 19 czerwca 1880 roku), a o ile ze streszczenia i z przytoczonych tam wyjątków sądzić można, będzie tworzyć przejście między pierwszą epoką twórczości poety a »Nieboską« i »Irydyonem«. (*Przypisek autora*).

snego pokolenia. Hrabia Henryk, tak jak go prof. Tarnowski charakteryzuje »nie żyje w rzeczywistości i na rzeczywistość nie wywiera wpływu. Fantazja odrywa go od świata, każe mu szukać poezji w nadzwyczajności, a zaślepia go na rzetelną piękność rzeczywistego życia...« Poetyzuje po skałach i górach, drażni sobie nerwy w egzaltowanej gonitwie za wrażeniami, upiększa siebie i własne błędy, jak prawdziwy »w każdym calu« romantyk. Mamy w nim dowód, jak głęboko odczuwał jego twórca to, co doprowadziło z czasem do bankructwa całej szkoły. Wziął w swoje serce najboleśniejsze jej objawy i jak ślimak utworzył dookoła nich najpiękniejsze perły swej poezji. Bez uwzględnienia romantyzmu, postać hr. Henryka nie byłaby zrozumiała, a w ten sposób bez romantyzmu nie mielibyśmy dziś »Nieboskiej«.

To są ślady i wpływy widoczne, namacalne; w dziełach późniejszych nie powracają już tak bardzo wyraźnie. Tem ciekawszą jest rzeczą śledzić je tam, gdzie są ukryte. Jedną z najcharakterystyczniejszych cech owego literackiego prądu, jest szukanie chluby dla swoich bohaterów w rozdzwiku, panującym między ich dążeniami a przekonaniem społeczeństwa. W konflikcie między moralnością Giaura, Korsarza lub Manfreda a etyką rządzącą otoczeniem, autor dzieli bez wahania stanowisko odtrąconej jednostki. Słusznie zauważył jeden z dawniejszych pisarzy, że romantyzm jest liberalizmem w poezji, bo niewątpliwie oba kierunki są wypływem i skutkiem wspólnej im, głębiej leżącej przyczyny, której rządy nad ludzkością w początkach naszego wieku uwidocznili, będzie pięknym zadaniem dla historyka owej epoki. Dziś — my wszyscy — bezwiednie nawet, stoimy na stanowisku wprost przeciwnym: w polityce pozbywamy się z dniem każdym złudzeń co do liberalizmu; w ekonomii zdecydowaliśmy się wejść na drogę reform socjalnych, dokonywanych w imię przewagi interesów społecznych nad prawami jednostki; w historii podnosimy z upodobaniem epoki łamiące rozbijałość indywidualności; w literaturze ideałem naszym są dziś ludzie dogmatu: Czertwany, Bohatyrowicze, Ślimaki wreszcie. Nasze moralne uczucie nie pozwala nam sympatyzować i entuzjasmować się dekadentyzmem Płoszowskich lub romantyzmem Wokulskich, o ile ich mamy między sobą; i to nas właśnie różni od ludzi wczorajszych, od ludzi wyrosłych z romantyzmu, u których po tej właśnie stronie była sympatya.

Irydyon, chociaż Grek, greckim nie jest. Prof. Tarnowski stwierdza pierwszy dziwne podobieństwo między nim a bohaterem »Nieboskiej«: »zbliżenie jest w tem, że tak, jak tamten, jest i on reprezentantem walki pomiędzy człowiekiem a społeczeństwem; on jej chce i pragnie, poświęca się dla niej, a przecież ona mu ciąży, nieszczęśliwy jest przez to, że ją prowadzić musi. On się do swojej idei tak przywiązał, tak się jej cały poświęcił, że wszelkie wahanie, wszelka skarga nad sobą jest stanowiskiem przebytem, nie odzywa się prawie. A jednak on jest rozdarty, on jest nieszczęśliwy. Ta natura cierpiąca i tęskniąca nie jest naturą ludzi starożytnych...«

To podobieństwo i łączność moralna z romantyzmem. Zastanówmy się teraz nad formalną stroną kwestyi, nad zależnością zewnętrzną strony twórczości Krasińskiego od tych wzorów, na których się chował. Biograf Krasińskiego tłumaczy tym sposobem właśnie najślabsze strony jego sposobu pisania. Romantyczność

miała od początku wielką skłonność do wyzyskiwania efektu tajemniczości i fantastyczności; z upodobaniem owijała się mgłą, jak płaszczem, nakazując czytelnikowi domyślać się pod nim niebывałych piękności i subtelności treści. Była to z początku nowość, charakterystyczna cecha, stająca się z biegiem czasu u naśladowców Byrona pospolitą i łatwą »sztuczką, z której pomocą pismak płytki i ubogi w myśl i fantazję, mógł za coś sprzedawać swoje wymysły i na chwilę złudzić« (str. 320). Krasinski, umysł i talent wielki, a przecież przejął się na wskrós tą manierą, szpecąc nią kilka ze swoich poematów: »Noc letnią«, »Pokusę«, »Trzy myśli Ligenzy«. »W przedstawieniu rzeczy jest taka niejasność sztuczna, umyślna, wyracho-

jedynie do utworów poety: pod wielu względami można i w samym jego charakterze, w Krasinskim jako człowieku, odszukać wybitne ślady przejęcia się nim, urobienia własnej duszy na wzór romantycznych ideałów. W zasadzie jest to charakter na wskrós uczuciowy, zapalny, fantastyczny. Jego fantazja pracuje ciągle i to nie tylko na zewnątrz, wylewając się w formie utworów na papier, ale bodaj — czy nie więcej nawet — na wewnątrz, rojąc i poetyzując własne uczucia i życie. Nie ma najdrobniejszego faktu, najdrobniejszego przeciwieństwa, jakie napotkał w życiu, któreby w jego mózgu, czy sercu nie urastało do rozmiarów krwawego nieszczęścia. »Wszystko, cokolwiek mu się zdarzy, przybiera ten kształt wyjątkowy i ten

ZDJĘCIE Z NATURY JULIUSZA MIENA.



NA CZARNEJ-WSI.

wana, w stylu takie efekta nienaturalne, takie przytem nadużycie szczegółów i opisów... że »Noc letnia« stała się przez to bez woli Krasinskiego, bez jego wiedzy — poezją dekoracyjną tylko. Przez to, że nie wiemy, kto ci ludzie są, czego chcą, jak się nazywają, stają się jakimiś obojętnymi marami i cieniami, i robią takie wrażenie, jak żeby kościoły, zamki i ogrody nie były dla ludzi, ale ludzie dla nich. Żeby też raz powiedział Krasinski otwarcie i odrazu to, co powiedzieć chce! żeby jedna scena nie była przywalona dodatkami, pod którymi ginie ona i jej znaczenie tak, że jej dopiero szukać trzeba!« To zboczenie fantazy i gustu tłumaczy do pewnego stopnia prof. Tarnowski wpływem Lammenais'go i Jean Paula, którzy rozwinęli istniejącą już z natury u niego skłonność (skoro się od najmłodszych lat objawiała), do lubowania się w braku przejrzystości i prostoty.

Ale wpływ literackiego prądu nie ogranicza się

wyraz patetyczny. Smutek staje się — rozpaczą; położenie trudne — tragicznem; walka uczuć lub obowiązków — piekłem. Czy to jest u niego udaniem? Nie; każde jego uczucie jest rzetelne, choć jest czasem umyślnie dla siebie samego przesadzone; to uczucie zlewa się z jego fantazją, staje się warsztatem, na którym ona pracuje, i pod jej wpływem ono zmienia nie swoją istotę, ale swój pozór, a czasem swoje rozmiary...« Specjalnie zaś na punkcie miłości Krasinski okazuje się takim charakterem romantycznym, możnaby nawet powiedzieć niezdrowo romantycznym, gdyby nie zachodziła obawa pleonazmu. Charakterystyka jego miłości należy do najpiękniejszych ustępów w dziele prof. Tarnowskiego. Smutne one, ponure i tragiczne, żyjące i podtrzymywane napięciem i rozstrojem nerwów (str. 611). Melancholia ich jest jednak zupełnie inna, niż smutek Słowackiego lub Musseta. Nie zna on zupełnie miękkości i rozma-

rzenia. »Na własnej swojej piersi krwawi pięście«, nie roztkliwiając się nigdy nadmiarem szczęścia lub żalu. Z bogatej lutni romantycznej pochwycił Manfredową strunę rozpaczy i na niej wygrał swe ponure Anakreontyki. A przecież pomimo wszystkich pozorów, miłość jego jest w głębi rzeczy równie bierna i fantastyczna, jak największe zachwyty »Szwajcaryi«. Kocha kobietę »z serca choć gorzko«, a nie ma siły oprzeć się naciskowi z zewnątrz, aby się żenił z drugą. Owszem: z jednej strony rozpacza i przeklina swe przeznaczenie, a z drugiej stara się równocześnie i dobrowolnie o pannę, z którą go ojciec chce żenić. »Rzetelność tych uczuć wydaje się więc wątpliwa i trudno uwierzyć w te rozpacz przed ożenieniem się, kiedy rozpaczając stara się przez dwa lata i żeni się. On naprawdę nie chce, ale jednak przecie i chce; i gdyby panna zamiast go przyjąć, była mu odmówiła, byłby się zapewne złapał, zdziwił i zawiódł boleśnie i byłby może rozpaczał na nowy temat... Jest w tem jego zachowaniu się i romansowy paradoks i filozoficzny sofizmat i upodobanie w dramatycznych kolizjach. Narzeka na fałszywe położenie a nie wychodzi z niego, ani wyjść nie próbuje; znowu podejrzenie, że mu ono tak bardzo nie ciąży, że mu się poniekąd swoją niezwykłością i dramatycznością podoba« (str. 672).

Wreszcie ożenił się. Trudnoby znaleźć gdziekolwiek, nawet w innych pismach prof. Tarnowskiego, charakterystykę tak malowniczą, a zarazem plastyczną, jak Elżbiety Krasieńskiej. Zwracając na nią szczególną uwagę czytelnika, jako na jeden z najwdzięczniejszych ustępów dzieła, wskażmy na dziwną przemianę — której powolne dojrzewanie zakryte będzie dotąd, dokąd listów poety do żony pisanych nie poznamy — jaka się w jego duszy dokonywa. Pani Krasieńska cicha, słodka, uczuciowa, sentymentalna nawet trochę, umiała podbić dla siebie serce poety, obrócone w czasie, gdy szła za niego, ku Beatryczy. A gdy to się już stało, Krasieński z tą samą łatwością, z jaką niegdyś idealizował sobie panią Bobrową lub Delfinę Potocką, zwraca swoją fantazyę ku żonie, opromieniając ją na zawsze nimbem świętości i anielstwa. Ta ostatnia jego miłość, jak to słusznie prof. Tarnowski stwierdza, nabiera powoli cech nadzmysłowości, nadziemskości (str. 609), a o ile tamte trawiły się same w sobie przy akompaniamencie ponurych lub namiętnych zgrzytów, o tyle miłość do żony rozwiewa się wśród niebiańskich zachwyków:

Za to żeś duszą z światłości uwiana,
 Żeś całą sercem, prawdą zamieszkałem,
 Żeś przepadobną i niepokalaną,
 Ach! już na wieki ja cię ukochałem.

(Pisma III. 127).

Dotknęliśmy zaledwie paru punktów, rozwiniętych lub poruszonych w powyższym dziele. Spróbujemy jeszcze wskazać kilka najznakomitszych — zdaniem naszym — ustępów. Należą tu najpierw: estetyczne rozbiory »Nieboskiej« i »Irydyona«, wyczerpujące kwestyę znaczenia i wartości obu poematów na długie zapewne czasy. Bardzo ważnym jest rozdział XI, zajmujący się »Przedświtem« i »Psalmami«. Prof. Tarnowski, jak wiadomo, nie akceptuje historyzoficznych doktryn poety, a mylność jego złudzeń na punkcie: »czem Polska była i czym jest«, wykazuje kilkakrotnie w ciągu swej pracy. Burzy jego illuzję wypo-

wiedzianą w »Psalmie dobrej woli«, co do nadeuropejskiej cnoty, jaką rzekomo mieliśmy błyszczeć w dziejach świata, nie wierzy w rosnące nam u ramion, bez pracy z naszej strony, mocą samej nadziei tylko, skrzydła zmartwychwstania, odrzuca teorię »próby grobu«, stojącą w związku z polskim Messyanizmem. Z drugiej jednak strony dziś po badaniach prof. Tarnowskiego należy pod wielu względami zmodyfikować rozpowszechnione zapatrywania o historyzoficznych przekonaniach Krasieńskiego. Złączywszy je w jeden ciąg z całym kształtem jego filozoficznych rozumowań, wykazuje on bowiem jasno, że Krasieński nie szedł pod względem »Chrystusowości Polski« tak daleko, jakby się na pozór zdawało. Polska, według niego, pozbawiona istnienia, powinna dorabiać się duchowo wyższego stopnia doskonałości, a gdy raz do niego dojdzie, może mieć ufność, że tem samem uzyska nowy byt samoistny, który będzie dla niej tem, czem zmartwychwstanie dla ciała. Na to »dorabianie się wyższego stopnia doskonałości«, kładzie Krasieński wielką wagę i to ratuje po części jego teorię w oczach dzisiejszej krytyki. Porównania do »Chrystusa narodów«, jak to autor rozbieranego studium na podstawie listów okazuje, nie należy brać dosłownie, w znaczeniu tożsamości. Jest to raczej »figura«, obraz a i to tylko warunkowy: »jeśli Polska objawi prawo Boże, myśl Pańską o ludzkości«, to jest jeśli podejmie i doprowadzi do skutku owo doskonalenie się duchowe.

W ten sposób pojęty mesyanizm Krasieńskiego, różni się znacznie — a na korzyść — od doktryny Mickiewicza lub Wrońskiego. »Przełożony na język trzeźwej i powszedniej prozy« (Tarnowski, str. 423), nie we wszystkim jest tak błędny, za jaki dotąd uchodził. Poetyczne wyrażenia, owite zasłoną niedokładnych, przesadnych często porównań i symbolów, nie dozwoliły długiego czasu zrozumieć prawdziwej, rzeczywistej myśli poety. Dzisiaj, poznaawszy ją, musimy pod wielu względami zmodyfikować potępiający wyrok, wypowiedziany przeciw autorowi »Przedświtu«, jako historyzoficznemu pedagogowi następujących po nim pokoleń (np. Bobrzyński w przedmowie do »Dziejów Polski«).

Oto parę ważniejszych kwestyj w najnowszym dziele prof. Tarnowskiego, wyjaśnionych lub rozwiązanych. Czytając je stawały nam mimowoli w pamięci gorzkie słowa, z jakimi poeci nasi niejednokrotnie zwracali się do swoich współczesnych. »Coś pięknego ujrzyć, ocenić i uznać, jest jedną z najwyższych duchowych rozkoszy, lecz takowej zabraniają sobie zwykle krytycy. Zajadłe pogańskie serce wre im w piersiach, miłością chrześcijan nie przepoili się dotąd, kochają się wściekle w ujemnym siły swej kierunku... Taka wyłącznie ujemna krytyka musi niedołązną zostać na wieki, bo wytyka tylko próżnie niezapełnione życiem, a od życia twarz odchyła, bo zapatrzona jest ciągle w brak piękności, tak jak ślepy człowiek w brak światła...« Oto co pisze z goryczą — za siebie i za Słowackiego — swoim filozoficznym, patetycznym stylem wielki autor »Psalmów« (Pisma III. 132), mając co do obu poetów — jak naówczas — wszelką słusność za sobą.

Ale dzisiaj doczekał się już dzieła pierwszorzędnej wartości, odpowiadającego chyba wszelkim wymaganiom, jakie przed laty dla swojego ideału »dotatniej krytyki« postawił.

STANISŁAW ESTREICHER.

